DUNAJEC

TYGODNIK POLSKIEJ ZJEDNOCZONEJ PARTII ROBOTNICZEJ

Nr 2 ROK I Nowy Sącz, 26 października 1980 Cena 4 zł

Antoni Kroh

Fot. Autor

MOJA NADZIEJA

Pragnę zostać sługą Czytelnika, jestem więc obowiązany podać swe referencje oraz przedstawić świadectwo moralności. (Przed wojną były takie świadectwa, wymagane np. od studentów, kandydatów na urzędników państwowych itp. Teraz nie istnieją, bo nie ma kto ich wystawiać). Powinienem rzec kilka słów, com za jeden, skąd się tutaj wziąłem, o czym będę w „Dunajcu" pisać i czego mniej więcej można się po mnie spodziewać. A więc: muszę sam sobie wystawić świadectwo, przybić pieczątkę, nalepić znaczek skarbowy i sam Państwu ów dokument przedłożyć. No, do roboty.

Od kilkunastu lat publikuję tu i ówdzie reportaże, opowiadania, artykuły, pracowałem dorywczo w radiu — ale etat w „Dunajcu" jest moją pierwszą posadą dziennikarską. Gdy mogę drukować zgodnie ze swymi przekonaniami — drukuję, a gdy nie, po prostu milczę. Owszem, jest to postawa w pewnym sensie wygodnicka, ale z drugiej strony daje ona nadzieję, że autor bierze na siebie pełną, całkowitą odpowiedzialność za to, co pisze, że nie będzie się mizdrzyć, stroić min do publiczności, mrugać szelmowsko ani wiercić kuprem.

Pochodzenie społeczne mam wprost wymarzone, na wszelkie okazje — bowiem jeden mój dziadek był majstrem kotlarskim i pięknie grał na skrzypcach, a drugi senatorem Rzeczypospolitej Polskiej, ziemianinem, społecznikiem i nienajgorszym znawcą literatury. Ojciec urodził się w obskurnej oficynie warszawskiej czynszówki, a matka w pańskim pałacu na Chełmszczyźnie. W jej domu o Józefie Piłsudskim mówiono per „Komendant", ale stryj Zdzisław złożył mandat poselski na znak protestu przeciw aresztowaniu posłów Centrolewu, swych politycznych przeciwników. Jeden z moich przodków po kądzieli był hetmanem polnym koronnym. Król, wręczając mu buławę, rzekł: **„Mości hetmanie, strzeż sie Lubomirskich"** (bowiem jeden z Lubomirskich również się o tę godność ubiegał). Przodek mój podkręcił wąsa i odrzekł spokojnie: **„Miłościwy panie, trza mi było o tym wczora prawić. Dziś niechaj oni się strzegą."** Dziadek-kotlarz, podobnie jak hetman polny koronny, nie bał się chyba życiowych przeciwieństw i wiedział dokładnie, czego chce, skoro swym dzieciom dał wyższe wykształcenie w bardzo trudnych dlań latach trzydziestych. Kiedy znajdę się na drugiej stronie Styksu i cienie przodków — spytają mnie, czy się im nie sprzeniewierzyłem — chciałbym mieć prawo odpowiedzieć, że byłem jak oni szlachcicem na zagrodzie (psychicznej, rzecz jasna) — i jak oni solidnym rzemieślnikiem.

Pochodzenie terytorialne, jeśli można się tak wyrazić, również mam nienajgorsze — jestem bowiem podhalańsko-beskidzkim Warszawiakiem. Mieszkałem w Bukowinie Tatrzańskiej, na rogu Jerozolimskich i Marszałkowskiej, w Kościelisku i na Dolnym Mokotowie, a wreszcie w Nowym Sączu, gdzie mam zamiar pobyć nieco dłużej, jeśli to się okaże możliwe. Powiedział ktoś, że aby zrozumieć jakieś zjawisko, trzeba tkwić jedną nogą w nim, a drugą poza nim. Więc staram się jak mogę bedę opisywać te próby.

A zrozumieć trudno, pułapki czyhają co krok. Kiedyś, pamiętam, jako pracownik Muzeum Tatrzańskiego chodziłem po Spiszu, szukając ludowych snycerzy. Zima, zmierzch. Odpinam narty, wchodzę do chałupy. Gazda, nieco podpity i bardzo agresywny, na moje „Dzień dobry" zaczyna krzyczeć po słowacku: jakim prawem włażę mu do izby, nikt mnie tutaj nie prosił itd. **„Nauczie sie po słowiocku, cleku, kie łcecie se mnom ugwarzac!"** odpowiedziałem najgrzeczniej jak umiałem, czyli średnio grzecznie, że z miłą chęcią pogadałbym z nim po słowacku, cóż, kiedy on sam nie umie. Następnie zacząłem bezlitośnie wytykać mu różne polonizmy. Chłop zrobił taką minę, że o mało nie wybuchnąłem śmiechem. **„Cóże, ja nie hovorim po slovensky, ja?"** zastanowił się chwilę i rzekł: **„Siednijcie, panie, pewnieście zmarzł. Chcecie gorącego mleka?"** piłem mleko, a on wyjaśniał: **„Pochopcie, panie, Ja nie jestem Słowiok, ani Polok, ba Śpiso... Ale jo walcym o demokracjom".** Gazda miał swoją głęboką rację — chociaż proszę się nie dziwić, że bardzo trudno mi ją pojąć do samego końca.

Pochwalę się z całym spokojem, bo jest się czym pochwalić: w Beskidach, od źródeł Wisły po dolinę górnego środkowego Sanu, znajdzie się parę chłopskich zagród, gdzie powitają mnie serdecznie, zrobią miejsce przy stole dadzą talerz zupy. Znajdzie się kilku góralskich artystów ludowych, również tych sławnych, którzy zawdzięczają mi to i owo. I ja niejedno im zawdzięczam. (Tutaj ktoś mógłby wtrącić, że nie wszędzie pozostawiłem za sobą ludzką życzliwość. To prawda — ale sztuka to nie cieplarnia ani towarzystwo wzajemnej adoracji, jak to sobie niektórzy wyobrażają).

Moja psychiczna ojczyzna (z pewnością istnieje coś takiego) leży również na południowych stokach Karpat. Jestem u siebie w domu zarówno w Piwnicznej i Gorlicach, jak w Lubowni, Lewoczy czy Swydnyku. Nie przestaję ubolewać, że współpraca sąsiedzka, np. muzealników naszego województwa z ich słowackimi kolegami jest taka marna. Spodziewam się, że „Dunajec" da mi szansę zajęcia się popularyzacją Słowacji, piękna i przebogatej kultury tej ziemi, wciąż jeszcze mało u nas znanej. Chciałbym systematycznie jeździć na Słowację i przywozić stamtąd reportaże.

Przede wszystkim jednak interesuje mnie reportaż z naszego terenu — chcę jak najwięcej rozmawiać z ludźmi, spierać się, przedstawiać swoje racje słuchać cudzych.

Bardzo interesują mnie złośliwe plotki — gdyż uważam je za dokument chwili, może nawet wyraźniejszy, niż fotografia. Tym cenniejszy, że ulotny. Plotkując, charakteryzujemy siebie samych — trafnie i dobitnie.

Skoro już się państwu wywnętrzam, to podam jeszcze listę moich przyjaciół, podtrzymujących mnie na duchu przez całe dorosłe życie, a i grubo wcześniej, oto oni: Jan Kochanowski, Franciszek Rabelais, Jan Chryzostom Pasek, Jarosław Haszek i Witold Gombrowicz. Kiedy mi źle na świecie, gdy jestem chory, mam chandrę, nawał roboty albo kocham się nieszczęśliwie — wracam do nich i często cytuję, na ogół w sposób zakamuflowany albo nieświadomy.

A gdy mam trochę czasu i chcę być sam, wybieram się w moje ulubione miejsce — do doliny Białej Wody, nieistniejącej łemkowskiej wsi koło Jaworek. Oglądam zdziczałe sady, pokrzywiska na miejscu dawnych „chyży", pola nieuprawiane od kilkudziesięciu lat, czytam z mapy okolicznej nazwy próbuję wyobrazić sobie ludzi, którzy nazw tych używali na co dzień.

I na koniec wyznanie najszczersze — więcej tu zamilczałem, niż powiedziałem. Ale przecież poznajemy się dopiero wzajemnie, zaś każdy mój tekst będzie, tak czy inaczej, dopisywaniem wciąż nowych stronic do szkicu, który Państwo właśnie skończyli czytać.

ADAM OGORZAŁEK

pisane w pośpiechu

Czytelnikom, którzy zauważyli, że od paru tygodni przestałem być kurierem, przynoszącym osobiście wiadomości ze stadionów i narad, z kolejek po niedowiezione mleko i z biur, w których wydają niezrozumiałe decyzje — uprzejmie donoszę, że moje życie wywróciło się do góry nogami z chwilą otrzymania pisma zaczynającego się od zdania: *„powołuję obywatela na stanowisko redaktora naczelnego"*...

Po ośmiu latach pracy w „Gazecie Południowej", przeniosłem się za biurko, o które się nie ubiegałem, ale — trzeba to dopowiedzieć — za którym nikt mnie siłą nie posadził. Dobrowolnie wprzęgam się w kierat.

Mój przyjaciel David Groth — o którym będzie tu nieraz mowa — też został kiedyś redaktorem naczelnym i w chwilach skrajnego przepracowania, po stoczeniu walki o lepszą farbę drukarską, nową maszynę do pisania, teleobiektyw albo po wykłóceniu się z zespołem redakcyjnym o żywsze teksty do następnego numeru — miewał ochotę rzucić to wszystko w diabły, spakować manatki i skoczyć w wir prawdziwego życia. Tłumaczono mu wtedy tak:

Zakładamy, że kiedy tęsknisz do osobistego udziału w wydarzeniach, popychą cię ambicja łowcy faktów, tropiciela podłości i wielkości, p o c h w a l a m y twoje pragnienie, gdyż lubimy szerokie projekty i wiemy, że skromność może nas zabić — ale mamy jednak nadzieję, że dziennikarstwo jest dla ciebie ważniejsze niż dziennikarz David Groth, tak — masz rację — trzeba zedrzeć niejedną aureolę z głów, zdemaskować niejeden szwindel — ale nie bezwarunkowo twoim piórem. Takie jest nasze zdanie o tobie — gdyby było inne, nie siedziałbyś na swojej posadzie, a skoro tu siedzisz, to myśl sobie: „trzeba by kiedyś" i zaraz potem: „kto by to potrafił?" Następnie pokręć się między swoimi ludźmi i poszukaj kogoś, kto będzie tym odkrywcą, tropicielem i demaskatorem. A jeśli go znajdziesz, to wtedy jesteś lepszy niż łowca największych sensacji, bo jesteś Davidem Grothem, który odkrył nowego zdobywcę nowych lądów.

Istnieje szansa, redaktorze naczelny: może w ten sposób będziemy mieli nowego Kischa, może nowego Johna Reeda, może ich obu albo pięciu — szanse związane są z tobą, a skoro tak przepadasz za marzeniami i marzycielskim zdaniem „może by kiedyś!" to mówimy: „zrób tak, człowieku!"

Mój przyjaciel, David, bronił się w takich razach argumentem, że nie chce stracić kontaktu z życiem, związku ze swoją klasą. Odpowiadano mu wtedy twardo:

Czy wiesz, czego oczekuje od siebie twoja klasa robotnicza? Oczekuje dobrej gazety. Chce ją rozłożyć między powrotem z pracy a telewizją i przynajmniej trzy razy na numer poczuć chętkę, żeby zawołać do żony: „widziałaś ten szlagier?! Ci to robią szlagiery!" Twoja klasa robotnicza jest z ciebie zadowolona, kiedy twoja gazeta raz na jakiś czas potrafi ją zadziwić: „tak to się nazywa stołówka. Nie wyrzucaj gazety, podaruję ją radzie zakładowej, i to jutro, i to w naszej stołówce!"

Rób swój tygodnik tak, żeby twoi zobaczyli, iż robisz go dla nich i zawsze o tym pamiętaj: twoi Czytelnicy cały dzień pracowali, więc produkcja wydaje się im bardzo dobrze znana. Są spragnieni nieznanego i także tego, co swojskie i bliskie. Otwieraj im świat, wciągaj ich w jego zagadki, mów im stale o udziale w rozwiązywaniu tych zagadek, nie porzucaj strapionych. Rób swoje, jak oni robią swoje. Rób swoje na swoim miejscu, które teraz znajduje się w pokoju redaktora naczelnego. Tu są twoje barykady Komuny Paryskiej, szkoła partyzantów, wieża działowa „Aurory". Tu pisz i kieruj, oddawaj się marzeniom i walcz! Koniec pouczania; idź do pracy, towarzyszu redaktorze!

Przeinaczam trochę słowa, trochę skracam potok argumentów, ale taki był sens zjednywania mojego przyjaciela Davida, kiedy próbował od odpowiedzialności za redagowanie gazety uciec w świat młodzieńczej fantazji. Biorę nauki, które on odebrał, za swoje. I maleńką tylko furtkę sobie zostawiam: właśnie tę rubryczkę. Jej pierwsze wydanie — zważywszy jak obszerny wypadł wstęp — będzie krótsze niż zwykle.

*

ŚRODA: szukam sprzymierzeńców do przedyskutowania sprawy sprzedaży mięsa na kartki. Idzie jak po grudzie. Dziesiątki wątpliwości: jak dzielić? Ile ciężej pracującym? Ile dzieciom i emerytom? Co zrobić z rolnikami?

Nie zapowiedziana wizyta wojewody, Edwarda Ligęzy: ponowna rozmowa o tempie rozpatrywania postulatów załóg i błogim śnie opornej części administracji. Zapraszamy organizatorów „Solidarności" na dyskusję. Odpowiadają, że muszą się porozumieć z Krakowem.

CZWARTEK: dzwoni Halina Szczygłowa, szefowa handlu. Myślała całą noc o bonach wartościowych na mięso i powoli przekonuje się do tej konieczności. Również pozytywna odpowiedź „Solidarności", przyjdą wieczorem.

Przynieśli swoją młodość i tęsknotę za dobrze urządzonym światem. Także — uprzedzenia, niedomówienia i — będę szczery — skrępowanie, gdy trzeba się określić. Tłumiki nie są tutejszego chowu, więc z kolei i ja staję się odrobinę podejrzliwy. Ale może martwią się na wyrost? Oni też na zimne dmuchają...

Delegat z WPK pyta, czemu nie napisałem o ich strajku. Odpowiadam szczerze: napisałem, lecz nie wszystko, co wtedy było drażliwe, stało się jasne. Po co więc drukować tekst, który nikogo nie zadowoli?

PIĄTEK: na konferencji prasowej w KW gorąco. Jedną z kontrowersyjnych spraw przychodzi wyjaśnić Henryk Kostecki. Jeszcze raz widzimy pożytki informacji z pierwszej ręki...

SOBOTA: o węglu chcieliśmy porozmawiać u prezesa Miziantego, o mitrędze rolnika i potrzebie popędzania tych, którzy — kradną chłopski czas. Wyszła z tego inna rozmowa, gorzka: pociągi nie awizowane, nawozy sztuczne luzem w zamkniętych wagonach, stare przepisy pętające ręce, absolutny dyktat producentów: — Chcesz mąkę, przyjeżdżaj po odbiór do Leszna! Chcesz cukru — jedź w Lubelskie! A jeśli ci się nie podoba, nie dostaniesz nic...

NIEDZIELA: spisujemy tematy do pilnego podjęcia — jakość chleba, dyskusja z nauczycielami, akcja pomocy ludziom niedołężnym... Może warto drukować w każdym numerze bajkę lub baśń z najlepszych światowych zbiorów? Bo skąd rodzice mają je wytrzasnąć...

Autoryzujemy tekst dyskusji z „Solidarnością". Cieplej — część uprzedzeń zniknęła czy też owocuje poprzednie spotkanie?

PONIEDZIAŁEK, WTOREK: luka w życiorysie, czyli zsyłanie do druku kolejnego numeru. Noc w pociągu do Warszawy.

ŚRODA: spotkanie w Komitecie Centralnym. Stanisław Kania, Jerzy Waszczuk, Józef Klasa przez pięć godzin słuchają naszych refleksji. Siłą rzeczy z największą uwagą obserwujemy reakcje Pierwszego i czekamy, co powie o naszej prawdzie — nieukaranej, otwarcie formułowanej. Słucha w sposób ujmujący, całym sobą. Dużo notuje, ani razu nie opuszcza sali, w dobrej formie przystępuje do odpowiedzi, choć za oknami zaczyna się już szarówka. Człowiek, o którym na Zachodzie piszą, że sam chodzi na zakupy, sprawia wrażenie rzeczywiście bezpośredniego, skromnego i szczerego działacza politycznego zdecydowanego zabiegać o odbudowę zaufania wzajemnego Polaków. Dziękuje za przedstawienie naszych niepokojów, lokuje je po stronie zaczętych procesów przemian. Wie, że VI Plenum — choć nikt nie kwestionuje jego linii — przełomu jeszcze nie zrobiło. Przejście od słów do zgodnej z nimi praktyki uczyni dopiero wiarygodnymi nasze intencje. Idzie o to, by ludzie się zmieniali, a kto nie potrafi zrozumieć istoty zachodzących procesów, bądź stracił poparcie środowiska — będzie musiał odejść.

Trzeba przyspieszyć tempo przemian, instancje terenowe nie mogą zajmować się sobą wyłącznie, cała niemal pasja naszych dyskusji kieruje się ku przeszłości, to źle — bo równocześnie winniśmy odpowiedzieć na pytanie, jak rządzić, jak usprawniać, co na górze, a co w terenie?

Obszerny fragment o niezwykle ciężkiej sytuacji gospodarczej (*„niczego nie rozwiążemy bez przełamania stagnacji w gospodarce"*), próba określenia powinności państwa wobec rolnictwa.

Dwie konieczności najbliższe: zahamować lawinę żądań płacowych (*„bo pójdziemy ku gorszemu"*) i bez wstydu tworzyć apoteozę dobrej, akuratnej pracy (*„to narodowa konieczność"*).

Krótko, ale z siłą o nieprzytomnych, nieobliczalnych, prących do konfrontacji (*„to nie robotnicy tego chcą"*). Porozumienia zawarte z klasą robotniczą będą realizowane w każdym punkcie (*„ani mniej, ani więcej, niż podpisaliśmy"*). Na koniec o potrzebie sojuszu tych, którzy Polsce dobrze życzą, o odwadze i równie niezbędnej rozwadze, cierpko o demagogii.

Żadne pytanie nie zostało bez odpowiedzi, dobry początek kontaktującego z dziennikarzami sposobu dyskutowania.

— Ostatnio tatuś przestał burczeć radiem, tylko czyta gazety. *Rys. Lech Zahorski — „Kultura"*

Początki sądeckiej „Solidarności”

W dniu 9 października w redakcji „Dunajca” dyskutowali przedstawiciele Komitetu Koordynacyjnego Niezależnego Samorządnego Związku Zawodowego „Solidarność” w Nowym Sączu. Obecni byli: **Leszek Broda** (Nowosądecka Fabryka Maszyn Górniczych), **Jan Budnik** (Zespół Zakładów Budowlano-Remontowych Wojewódzkiej Spółdzielni Mieszkaniowej), **Czesław Dąbrowski** (Zakłady Naprawcze Taboru Kolejowego), **Jerzy Gwiżdż** (Zespół Zakładów Remontowo-Budowlanych Wojewódzkiej Spółdzielni Mieszkaniowej), **Józef Jarecki** (Zakłady Naprawcze Taboru Kolejowego), **Andrzej Szkaradek** (Nowosądecka Fabryka Maszyn Górniczych) i **Jerzy Wyskiel** (Wojewódzkie Przedsiębiorstwo Komunikacyjne). Redakcję reprezentowali **Adam Ogorzałek** i **Antoni Kroh.**

ADAM OGORZAŁEK: Szczerze panom gratuluję z powodu otrzymania mandatu zaufania od swoich współtowarzyszy pracy.

Pragnę zauważyć, że „Dunajec” jest rówieśnikiem „Solidarności”. Kiedy wyjdziemy z okresu raczkowania, z pewnością będziemy się często spotykać na tym samym podwórku. Pomyśleliśmy więc, że byłoby dobrze zawrzeć znajomość. Trudno teraz przesądzać, co z tego wyniknie.

Dziękuję za przyjęcie zaproszenia. Ze swej strony mam tylko jedno pytanie: co chcielibyście powiedzieć o sobie społeczeństwu regionu dzisiaj, w październikowy wieczór?

Natomiast red. Antoni Kroh uważa, że wypada pociągnąć Was za język już podczas pierwszego spotkania. Nie jestem tego pewien, nie chcę narzucać zbyt trudnych pytań, choć cisną się one do głowy. Będę zadowolony nawet wtedy, jeśli zechcecie odpowiedzieć tylko na pytanie wstępne, początkujące naszą znajomość.

No, ale może rację ma kolega Kroh? Decydujcie; takie prawo gości.

ANTONI KROH: Pytania te przygotowałem wspólnie z red. Adamem Garbiczem. Być może są one przedwczesne, być może zbyt szczegółowe, a na pewno nie wyczerpują całości problematyki; niemniej chciałbym je przeczytać.

Jakie są najważniejsze cechy Niezależnego Samorządnego Związku Zawodowego „Solidarność”? Co odróżnia tę organizację od „starych” związków zawodowych oraz od związków nowo powstających, które nie zgłosiły akcesu do „Solidarności”?

Co będą w praktyce oznaczać słowa „niezależny” i „samorządny”?

Jak rozumiecie demokrację wewnątrzzwiązkową i odpowiedzialność działaczy związku wobec ich wyborców?

Jak, według waszej oceny, załogi przyjmują odpowiedzi na zgłaszane wcześniej postulaty?

W jaki sposób macie zamiar tępić niedbalstwo, pijaństwo, brakoróbstwo, niesolidność i inne negatywne zjawiska? Jeśli to nie za wcześnie, prosiłbym o przykłady.

Jaką rolę będzie spełniać nowo powołane ciało w życiu pozazakładowym, na terenie miasta i województwa?

I wreszcie: czego oczekujecie od tygodnika „Dunajec”?

Proszę to traktować jako sugestie, dodatkowe pytania pomocnicze.

JERZY WYSKIEL: Wydaje mi się, że dzisiaj nie jesteśmy w stanie na te pytania odpowiadać, ponieważ rozpoczęliśmy dopiero swą działalność. Jedną z naszych najpilniejszych spraw jest otrzymanie lokalu; byliśmy u prezydenta Oleksego, który obiecał jak najszybciej przydzielić nam pomieszczenie na punkt konsultacyjny. Na razie możemy powiedzieć, że uformował się Komitet Koordynacyjny. (Skład Komitetu podała „Gazeta Południowa” — przyp. akr.).

JERZY GWIŻDŻ: To, co przed chwilą powiedział kolega, nie jest krytyką pod adresem władz administracyjnych miasta, bo myśmy dopiero złożyli im wizytę trzy dni temu. Dzisiaj więc nie możemy powiedzieć, czy prezydent wychodzi nam naprzeciw, czy nie. Stosujemy zasadę ograniczonego zaufania; wierzymy, że załatwi, ale ta wiara nie jest na razie niczym poparta. Być może dostaniemy lokal w „Domu Robotniczym” przy ulicy Zygmuntowskiej. Mielibyśmy tam trzy pomieszczenia i salę konferencyjną.

ANDRZEJ SZKARADEK: Najpilniejsza sprawa — informacja. Gdy będziemy mieć lokal, zgłosimy się do Międzyzakładowego Komitetu Założycielskiego w Krakowie po materiały informacyjne. Jak dowiedzieliśmy się, nawet zakłady śląskie chcą podlegać pod Kraków, gdyż jest to po Gdańsku najprężniejszy ośrodek. Będziemy mogli o wiele więcej powiedzieć, gdy będziemy mieć swój lokal, kserograf, maszyny do pisania.

J. GWIŻDŻ: Tak, informacja to najpilniejsza sprawa. Choćby taki przykład: w „Gazecie Południowej” i w „Dzienniku Polskim” pisze się o problemach ZNTK i innych dużych zakładów, bo je widać; tymczasem małych zakładów na terenie Nowego Sącza jest około 90%. No, i jakoś do tych zakładów się nie trafia — a problemy tam występujące wcale nie są mniejszej wagi, niż w zakładach dużych; na przykład zakład duży ma większe zaplecze socjalne. Również tam trzeba trafić. Oczekujemy tego od „Dunajca”.

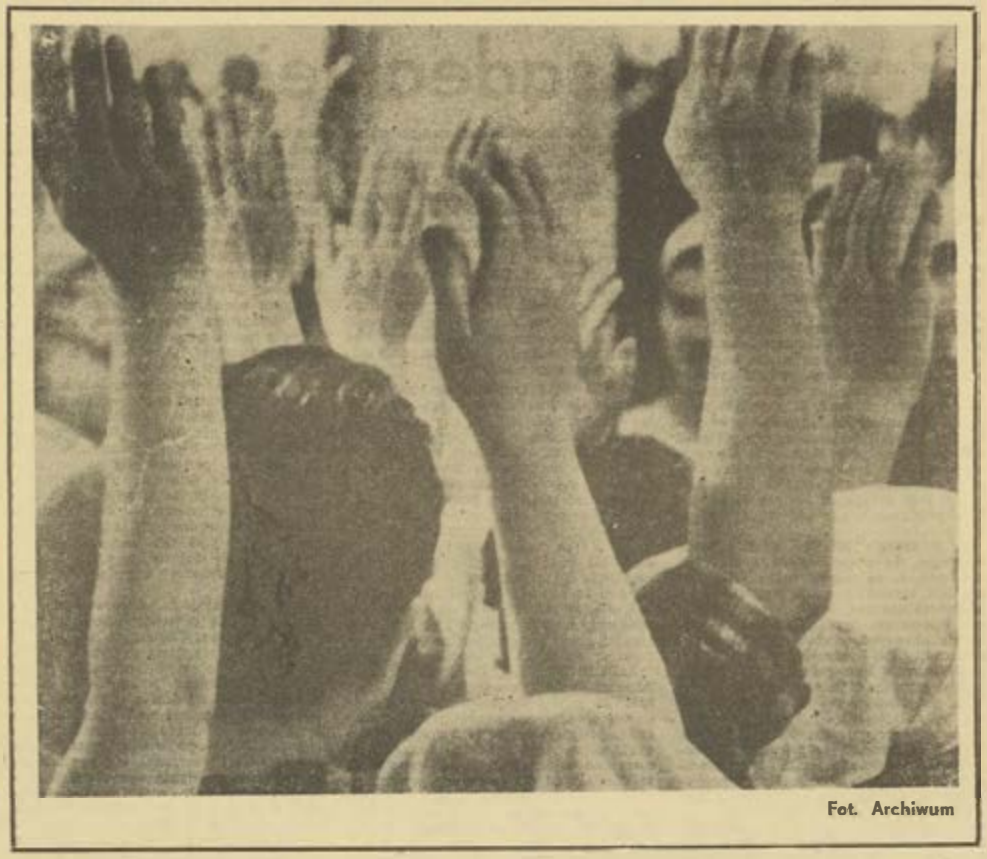

Fot. Archiwum

Mamy również nadzieję, że wygospodarujecie trochę miejsca na materiały Komitetu Koordynacyjnego.

JAN BUDNIK: Także na temat piątkowego strajku nie było pełnej informacji. Region krakowski, gdzie realizowane są wszystkie postulaty, strajkował tylko dlatego, żeby zaznaczyć swoją solidarność. I co jeszcze podkreśliłbym: jedną z najważniejszych cech tego strajku było, że nie miał on na celu dezorganizacji pracy, powodowania strat gospodarczych. Wszędzie tam, gdzie były jakiekolwiek możliwości nadrobienia strat, powstałych wskutek strajku, działania takie poczyniono. A efekty tego strajku można już było obejrzeć w dzienniku wieczornym. Już więcej pokazali. Strajk *w pracy, ustalenia prawidłowego stosunku rządzących do rządzonych itd. Nie pominiemy też spraw istotnych dla świata pracy, takich jak kasy zapomogowo-pożyczkowe, fundusz wczasów, leczenie sanatoryjne oraz inne świadczenia socjalno-bytowe. Uważamy, że zakłady pracy stanowią własność ogólnospołeczną, ale zarazem ogólnopracowniczą, że przynależą do wszystkich pracujących niezależnie od ich przynależności związkowej. Dotychczasowe związki przywłaszczyły sobie tylko prawo dysponowania funduszami.*

W całym polskim ustawodawstwie nie ma przepisów, które sankcjonowałyby tę niedemokratyczną sytuację. Jest to tylko szczegół, jednak niezmiernie istotny i charakterystyczny dla ogólnej sytuacji ruchu związkowego. Nasz związ-

założycielskich, zawiązywanie kół, powstrzymanie się od płacenia składek dotychczasowym związkom, naukę nowego stylu pracy, bycia i działania.”

Tyle Biuletyn Informacyjny. My zaś wolelibyśmy wypowiedzieć się na temat tego, jak widzimy pracę Komitetu Koordynacyjnego. Bo to chyba jest ważne.

JÓZEF JARECKI: Zresztą nie możemy wypowiadać się w imieniu ludzi, którzy nas wybrali, bo dopiero opracowujemy program. W dalszym ciągu trwa dyskusja nad formami pracy, naradzamy się nad tym, co chcielibyśmy i jak chcielibyśmy.

(DALSZY CIĄG NA STR. 4)

prowadzony został już projekt statutu. Wczytujcie się uważnie w jego treść. Przedstawia ona istotę i sens naszego działania. Wniosek o rejestrację NSZZ „Solidarność” został złożony w dniu 24 września br. przez przewodniczącego Komisji Krajowej Lecha Wałęsę w Sądzie Wojewódzkim w Warszawie. Czas, jaki pozostał do uprawomocnienia się związku, musimy wykorzystać na konsolidację ruchu poprzez składanie deklaracji, krzepnięcie komitetów

Adam Garbicz

CZARNY WĘGIEL

Węgiel trzeba wyrąbać w kopalni. Od myślenia węgla nie przybędzie.

Ale...

To było we wtorkowy wieczór 7 października, gdy wtargnęło do Nowego Sącza gorące tchnienie pierwszego tej jesieni halnego: wtedy właśnie zobaczyliśmy w dzienniku telewizyjnym górników, mówiących o sytuacji na Czarnym Śląsku. Ich prawda była brutalna. To nie tylko o to chodzi, że węgla już jest za mało, że fałszowane były statystyki pracochłonności wydobycia i że poniechanie systemu czterobrygadowego osłabi rozmach prac kopalni. Poważniejszą rzeczą na kilka najbliższych miesięcy będzie co innego: uporządkowanie wyrobisk, usunięcie ogromu zalegających tam zepsutych maszyn, przywrócenie sprawności w całym organiźmie technicznym kopalni. Dowiedzieliśmy się też, jak nierzetelnie wyglądało w ostatnich okresach sortowanie: że było ono praktycznie niemożliwe przy tej ilości stanowisk oczyszczania ogromnego urobku i przy alarmującym braku chętnych do tej pracy.

Górnicy zapewniali, że znają swoje miejsce, że dołożą wysiłków, by nadrobić zaległości. Ale wniosek z opisanej sytuacji jest prosty: na razie węgla będzie jeszcze mniej, niż było.

Oznacza to, że mało kto dostanie pełny przydział. Oznacza, że trudniej będzie się o węgiel wystarać tym, którzy mają dalej do składu, którym trudniej się dowiedzieć o czasie przybycia transportu. Czyli — indywidualnym rolnikom. A właśnie usłyszeliśmy od nich w redakcyjnej dyskusji, jak już dotychczas było to dla nich uciążliwe; jak upokarzająco byli traktowani. Jak bardzo chcieliby być zawiadamiani, kiedy mogą się zgłosić po odbiór.

Zawiadomić? Proste! Trzeba tę myśl przemienić w działanie.

Nie my zresztą pierwsi dostrzegliśmy tę konieczność. Na spotkaniu w Urzędzie Wojewódzkim poinformowano nas, że 27 września wicewojewoda Janusz Pieczkowski wystosował do Wojewódzkiego Związku Spółdzielni Rolniczych — zajmującego się sprawą dystrybucji węgla — nakaz informowania rolnika o terminie odbioru opału.

— Dziesięć dni na wprowadzenie w życie polecenia to dość — pomyślałem. Wybrałem się więc rankiem 8 października do Bazy Magazynowej Rejonowej Spółdzielni Zaopatrzenia i Zbytu GS w Gorzkowie. O szóstej niebo jeszcze było pogodne, ale wiało coraz mocniej, wkrótce halny zaczął nieść zwały chmur, i coraz to popatrywaliśmy na niebo z tymi, którzy w godzinie otwarcia bazy, o siódmej, przyszli zobaczyć jak tam z węglem.

Węgiel leżał. Nie licząc zwalonych obok, przemieszanych z miałem brykietów, był to sam pierwszy gatunek: tyle tylko, że w boksie przydziałów za kontraktację leżało 20 ton grubego orzecha, w boksie dla zakładów energetycznych — kęsy, a w boksie dla indywidualnych — mielony groszek, o którym mówiono wyłącznie niecenzuralnie.

— *Mam to brać?* — gorączkuje się starszy człowiek, który przyjechał tu na rowerze. — Oni to nazywają ekstra klasa, tak? Gadają o zmianach. Że tego wyrzucą, tamtego zamkną. Ale tu się nic nie zmienia. Nic! Był lepszy węgiel i nie sprzedawali. Chowali dla swoich znajomskich!

Ci od kontraktacji nic nie mówią. Podjechały dwa ciągniki z przyczepami. Ładują. Do boksu indywidualnych też podjeżdża jeden. Józef Kruczek z Mystkowa ma przydział tonę osiemset, tonę już kupił w poniedziałek: ten węgiel, co leży, właśnie wtedy sprzedawano. Komu? — A komu się udało!

— *Jak to, komu się udało? A zarządzenie? Nie zawiadamiali?*

— *Jakie zawiadomienie? Sąsiad powiedział, to poleciałem. Dziecko w domu, a węgla nie mam. Tylko jak ja to będę wiózł? Teraz 800 kilo i 200 kilo brykietów — taki nakaz — a potem znów osiemset, a za każdym razem pięć stówek trzeba dać...*

Kruczek obchodzi stertę węgla raz i drugi, wreszcie macha ręką: nie. Nie będzie brał takiego błota. Żeby choć cały przydział... Może potem się jaki lepszy gatunek nadarzy.

Józef Kruczek nie mógł wykupić więcej węgla, bo od pierwszego wprowadzono słuszne ograniczenia: jednorazowo można pobrać tylko tonę, a ci, którym rocznie przysługuje powyżej dwie i pół, w ogóle mogą dostać tylko 75 procent przydziału. Stąd nie wskora niczego Maria Repel: ma asygnatę z „Nowomagu" na trzy tony i bardzo chciałaby dostać teraz wszystko. Nie, nie ma mowy.

Po pół godzinie zaczyna padać, i to coraz gęściej. Na placu nic już się nie dzieje, nikt więcej nie przychodzi, węgiel pierwszego gatunku moknie i właśnie zamienia się jednoznacznie w czarną breję. Klnę pod nosem; nic tu po mnie. Nie będzie mocnych obrazków do reportażu. Żadnych gwałtownych scen. Tylko zrezygnowanie i szarość w smugach ulewy.

A jak gdzie indziej? Telefonuję do składu w Starym Sączu. Był węgiel! Wczoraj. Przyszły cztery wagony. Ludzie się rzucili, rozkupili, nie ma. — *Kiedy będzie?* — *No nie ma, mówię* — ucina mocno referentka, przywykła już do oganiania się od natrętów, i bez zbędnych dalszych uprzejmości odkłada słuchawkę.

Lało przez całą środę. Na szczęście

(DALSZY CIĄG NA STR. 14)

Początki sądeckiej „Solidarności"

(DALSZY CIĄG ZE STR. 3)

Działamy zespołowo. Wypracowujemy płaszczyznę działania, krytykując sytuację, jaka do niedawna istniała.

J. GWIŻDŻ: Chciałbym sprecyzować wypowiedź pana Jareckiego: my nie tworzymy władz związkowych, związku jeszcze nie ma. Związek powstanie wtedy, kiedy „Solidarność" zostanie zarejestrowana. My jesteśmy jedynie kolektywem, który dopiero ma powołać związek do życia, a związek będzie powoływać swe władze. Nikt z nas nie jest w stanie dzisiaj powiedzieć, czy akurat my do tych władz wejdziemy. Dlatego chcemy mówić przede wszystkim o tym, jak chcielibyśmy te związki zorganizować. Mianowicie tworzymy Komitety Założycielskie w zakładach, Komitet Koordynacyjny, Punkt Konsultacyjny przy Komitecie Koordynacyjnym, no i mamy Międzyzakładowy Komitet Założycielski w Krakowie, który jest zarządem — ale Komitetu Założycielskiego, nie zaś władz związkowych.

J. BUDNIK: Mógłby ktoś odnieść wrażenie, że właściwie sami nie bardzo wiemy, co mamy robić. Otóż tak nie jest. Opieramy swoją działalność na projekcie statutu, który głosi: „Związek będzie rozwijać działalność w zakresie obrony interesów pracowników, realizacji ich potrzeb materialnych, społecznych i kulturalnych." Na pewno trzeba rozwinąć działalność inną, niż była dotychczas. Bo wiem, że z tym nie było najlepiej.

Jesteśmy organizacją związkową, stojącą na gruncie socjalizmu, co podkreślamy właściwie na każdym zebraniu, przy każdej okazji. Nasze propozycje nie są na już; jest to długofalowy program odbudowy i odnowy tego, co zostało zaniedbane lub zniszczone. Z pewnością program na długie lata. Zdecydowanie stawiamy na wychowanie młodzieży w uczciwości i moralne podźwignięcie społeczeństwa.

Chciałbym również powiedzieć, że Związek Zawodowy nie pragnie zarządzać. Będzie kontrolować zarządzanie, sprawowane przez fachowców do tego powołanych, o odpowiednich kwalifikacjach i predyspozycjach, rozliczanych przez odpowiednie władze.

Zwróćcie uwagę na jeszcze jedną rzecz: mianowicie w paragrafie siódmym statutu jest mowa o przeciwdziałaniu alkoholizmowi. Jak my sobie to wyobrażamy? Uważamy, że od stuleci alkoholizm był wadą narodową i jedną z najgorszych cech Polaków. Sprawa jest bardzo trudna — ale już teraz, nie będąc jeszcze władzami związkowymi, Zakładowy Komitet Założycielski zajął się sprawą ludzi, którzy nadużywają alkoholu i mają przez to kłopoty zawodowe i rodzinne. Zaczęliśmy od tego, że przeprowadzamy z nimi rozmowy. Przeprowadziliśmy rozmowę w obecności przedstawicieli Komitetu Założycielskiego i w obecności żony tego pracownika. To jest wstępna faza. Odniosło to pozytywny skutek — nie wiem, czy chwilowy, czy jakiś dłuższy; w każdym razie myślę, że jeżeli ta forma nie pomoże, to będziemy stosować inne metody, aż do leczenia odwykowego włącznie.

J. GWIŻDŻ: Z tym zwalczaniem alkoholizmu to jest ciekawa sprawa. Tak się akurat dzieje, że gdy mówi się o tym, to wszyscy nie chcą pić, wszyscy mówią, aż alkoholizm to najgorsza plaga. Ale co tu dużo mówić — społeczeństwo polskie jest rozpite. Istnieją przecież podstawy prawne, by zwolnić z pracy takiego człowieka, ale na tym cierpi przede wszystkim rodzina. A on i tak będzie dalej pić. Formy działania będą się musiały dopiero wykształcić. To samo jest z marnotrawstwem, to samo z innymi sprawami.

J. JARECKI: Wydaje mi się, że postawienie tego w statucie i zajęcie się tą sprawą przez związki jest nowością. Alkoholik nie może należeć do Związku.

J. BUDNIK: Przyjęliśmy zasadę działalności kolektywnej. Dawniej było tak, że przewodniczący Rady Zakładowej działał za wszystkich, za całą radę, podpisywał się pod różnymi decyzjami. A nam chodzi o to, żeby to wszystko zdecentralizować, żeby cała ta działalność odbywała się wewnątrz, w środowisku pracowniczym. To jest typowe dla naszej organizacji, to jest jedna z głównych różnic między „Solidarnością" a starymi związkami resortowymi.

J. GWIŻDŻ: Mamy zastrzeżenia do niektórych dyrektorów. Chodzi o to, żeby zawierali porozumienia, w których ustali się warunki działania Komitetu Założycielskiego na terenie zakładu. Ileż oni wynajdują różnych kruczków: a to nie może być, tamto nie może być. Prawdopodobnie nie mają pełnej informacji na temat „Solidarności".

J. WYSKIEL: Ja nie mogę tego powiedzieć o naszym zakładzie. Stosunek dyrekcji do załogi był inny, działaliśmy na zasadzie wzajemnego zaufania. Dogadaliśmy się bardzo szybko i cała załoga przeszła do „Solidarności". Wydaje mi się, że gdyby w prasie ukazywały się informacje, o co nam chodzi i dyrektorzy byliby zorientowani, to nie byłoby niepotrzebnych zgrzytów.

Przecież my nie chcemy strajkować! My chcemy pracować, uczciwie pracować. Chcemy zapomnieć o strajkach, a inni wciąż o nich mówią. Wciąż tłumaczę, o co chodzi, że my nie chcemy strajkować, że będziemy się odwoływać regulaminowo do okręgu, do centrali, żeby coś zdziałać. Strajk, to absolutna ostateczność.

J. GWIŻDŻ: Zdarza się, że pracownicy są bałamuceni przez starych związkowców: *„Jeżeli wystąpicie z naszego związku branżowego, to wam odetniemy wszystkie świadczenia socjalne, które z tytułu przynależności do związku przysługują"*. Przy braku informacji to poważny argument.

J. BUDNIK: Pamiętam, jak było w naszym zakładzie: opracowaliśmy swój statut, wysłaliśmy wniosek, kiedy jeszcze mowy nie było o „Solidarności". Nasz statut był wysłany bodajże 15 września, podczas gdy statut „Solidarności" 24 września. Prawie 100% załogi podpisało deklarację przynależności do — wtedy — Niezależnego Związku Zawodowego; nie wiadomo tylko było, jaki ten związek jeszcze będzie. A gdy dotarła do nas informacja o „Solidarności" wycofaliśmy swój wniosek.

Myślę również że w sprawach personalnych nie powiedzieliśmy wszystkiego do końca. Chciałbym zwrócić na jedną rzecz uwagę: na jednym z zebrań spotkałem się z zarzutem... (*Głosy: Konkretnie trzeba powiedzieć!*) Konkretnie u nauczycieli w Centrum Doskonalenia. Wczoraj spotkałem się tam z zarzutem działacza Związku Nauczycielstwa Polskiego że pod płaszczykiem „Solidarności" załatwia się personalną rozgrywkę odwołania dyrektora ze stanowiska (chodziło o PKS). Odpowiedziałem w ten sposób, że jeżeli ktoś porówna daty, to stwierdzi, że odwołanie dyrektora nastąpiło ze dwa tygodnie wcześniej, niż został powołany Komitet Założycielski NSZZ „Solidarność". Takie zarzuty również bywają. Dlatego chciałbym podkreślić, że Związek Zawodowy nie chce bawić się w rozgrywki personalne. Kto powołał tych ludzi, niech rozlicza i odwołuje tych, którzy się nie sprawdzili.

J. JARECKI: Postawiliście panowie pytanie w sprawie postulatów załóg. Nie wszystkie załawiane są właściwie. Istnieje dość poważna groźba: zdarza się, że ludzie czekają na odpowiedź, a odpowiedzi albo nie ma, albo jest w takim stylu: *„postulat wysłano do władz zwierzchnich, odpowiemy później"*.

KILKA GŁOSÓW: Tak samo u nas.

ANDRZEJ SZKARADEK: U nas jest inna sytuacja. Powołaliśmy komitet robotniczy do pilnowania realizacji postulatów. Mamy w tej sprawie spotkania z dyrektorem w pierwszy i trzeci wtorek miesiąca. Tak, a jeszcze niedawno byłem „elementem wywrotowym, ciężkim we współżyciu".

J. GWIŻDŻ: Moim zdaniem od spotkań z dyrekcją do faktycznej realizacji postulatów jeszcze daleko. Kolega Szkaradek mówi, że załatwiają — ale nie wiem, czy na zasadzie rzeczywistego załatwienia, czy według schematu: „pismo zostało wysłane do władz zwierzchnich".

A. SZKARADEK: Myśmy powołali komitet robotniczy, zatwierdzony przez dyrektora. Nie jest on związany z „Solidarnością" ani ze starą radą zakładową, lecz jest to komitet robotniczy, wybrany na ten gorący okres.

J. GWIŻDŻ: Powiem wprost: my, we wszystkich komitetach założycielskich, z góry na dół, chcielibyśmy, aby byli tam po prostu ludzie uczciwi. To zasadnicza sprawa.

A. OGORZAŁEK: Podoba mi się to kryterium, ale nikt nie wymyślił aparatu rentgenowskiego do prześwietlania wnętrza, charakteru i osobowości człowieka.

J. JARECKI: Ale to samo wyjdzie!

A. OGORZAŁEK: W małych kolektywach tak, ale ja np. w ZNTK nie jestem już taki przekonany.

KILKA GŁOSÓW: To bardzo szybko wychodzi na jaw.

J. BUDNIK: Jestem bardzo zadowolony, że od pewnego czasu zaczęto wreszcie otwarcie mówić. Nie jest to jeszcze to, czego oczekujemy, ale na pewno widać poprawę. Natomiast jeśli chodzi o wypowiedzi radiowe czy telewizyjne — niektóre, zastrzegam się — miałbym tutaj pretensje do osób, zarzucających „Solidarności" element antyustrojowy. Że niby jakieś elementy wrogie i tak dalej dorwały się do głosu. Na etapie organizacji samego związku jest to jeszcze, powiedziałbym, możliwe — chociaż znam przypadki, i to bardzo konkretne, zdecydowanego odcięcia się działaczy NSZZ „Solidarność" od obcych elementów politycznych. Na każdym spotkaniu, jakie mamy tutaj w Nowym Sączu, podkreślamy tę sprawę.

J. WYSKIEL: Chciałbym jeszcze tylko powiedzieć, że rozmawiałem dzisiaj z przedstawicielem Komitetu Wojewódzkiego PZPR. Wyjaśniłem, że pragnęlibyśmy współpracować z partią w klimacie zaufania, aby sobie wzajemnie pomagać. Przede wszystkim prosimy o informacje dla tych dyrektorów, którzy robią złą robotę w zakładzie pracy. Niepotrzebnie zaostrzają sytuację, nic więcej.

Opracował
ANTONI KROH

POSTULATY ZAŁÓG (II)

Prezentując Czytelnikom „Dunajca" w ubiegłym tygodniu wyniki pracy wojewódzkiego zespołu rozpatrującego obywatelskie postulaty, zasugerowaliśmy również pewne formy dalszego usprawnienia tej pracy — m. in. przez rozszerzenie zespołu o przedstawicieli załóg robotniczych, a także o radnych i posłów. O tym, czy i jak nasze sugestie zostaną uwzględnione, poinformujemy Czytelników w następnych numerach.

Dziś przedstawiamy kolejne przykłady rozstrzygania spraw znajdujących się na listach wniosków i postulatów.

Wiemy wszyscy — postulujący również — że nie wszystko może być załatwione od ręki lub do końca, ze względu choćby na skalę potrzeb i możliwości. Jak, na przykład, zapewnić wszystkim dzieciom miejsca w przedszkolach? Dla każdego jest oczywiste, że to niemożliwe już, wobec zadawnionych braków.

W ostatnim pięcioleciu zrobiono w tym względzie w województwie sporo — temu nikt nie zaprzeczy: otwarto w tym czasie 72 przedszkola i 67 oddziałów przedszkolnych (tzw. klas zerowych) w szkołach, tak że 1 września br. w 254 przedszkolach województwa rozpoczęło zajęcia prawie 15 tysięcy dzieci, a wszystkimi formami wychowania przedszkolnego objęto ponad 22,5 tysiąca. Nikt też jednak nie zaprzeczy, że jest to nadal o wiele za mało w stosunku do potrzeb — 2350 podań musiano odrzucić, z czego pół tysiąca w samym Nowym Sączu. Oczywiste jest też, że nie rozwiążą problemu te przedszkola, które sposobem gospodarczym tworzy się obecnie na osiedlu Barskie w stolicy województwa, na osiedlu Korczaka w Gorlicach (z inicjatywy Zakładu Metalowego Polmo-Autosan) oraz w Hotelu Robotniczym „Glinika". Ani nawet te, które już się buduje: w Grybowie, Szczawnicy, Jordanowie, Rabce, Jaworkach, Nawojowej. Przysłowie jednak mówi: ziarnko do ziarnka...

Następne kroki w tej sprawie to decyzja Wojewody Nowosądeckiego z dnia 7 października o wprowadzeniu do planu tegorocznego, z terminem realizacji: koniec roku 1981, dwóch przedszkoli w Nowym Sączu: przy ul. Sienkiewicza i ul. Nadbrzeżnej oraz rozmowa jaką z redakcyjnego telefonu przeprowadził Edward Ligęza z dyrektorem Zjednoczenia w Warszawie, a której efektem ma być otrzymanie dalszych dwóch przedszkoli dla województwa (jedno z nich stanie w Nowym Targu, drugie w Nowym Sączu). Coś się zatem ruszyło.

Nadal jednak budzi niepokój obserwowany jeszcze w niektórych ogniwach admnistracji różnych szczebli niedowład, brak operatywności w działaniu i decydowaniu. Oto kilka przykładów:

WPK chciało ułatwić swym pracownikom odbiór węgla, wysyłając własny transport. Do pobrania było 19 ton węgla. Na składzie opałowym odmówiono jego wydania, powołując się na przepis o jednorazowym wydawaniu jedynie jednej tony; dopiero interwencja z Urzędu Wojewódzkiego pomogła urzędnicze zrozumieć, o co chodzi.

Także dopiero interwencja wojewody sprawiła, że sprzedano rolnikowi bronę, których na składzie nie brakowało. Kierowcy postulowali: **ponieważ w handlu nie ma obuwia, jakie nam się należy w ramach wyposażenia w odzież roboczą, dajcie nam ekwiwalent, a załatwimy to we własnym zakresie. Ale nie z funduszu płac, jak to sugeruje sam minister Zubclewicz, a z funduszu obrotowego, który dotychczas obciążały te zakupy.** Z zespołu ds. rozpatrywania postulatów wyszło więc do Warszawy odpowiednie pismo — obecnie czekamy na decyzję.

Jest jednak i druga strona medalu: decyzje pochopne, które spraw nie załatwiają, a tylko mogą napsuć wiele krwi. **Na przykład flisacy pienińscy zażądali podwyżki opłat za spływ z 90 do 150 złotych. Główny Komitet Kultury Fizycznej taką podwyżkę zatwierdził. Czy jednak można jego decyzję uznać za wiążącą, skoro nie było akceptacji Państwowej Komisji Cen?**

A oto przykład jeszcze innego podejścia do obywatelskich postulatów — i to zarówno administracji, jak i samych postulujących: rolnicy zgłaszali że mają trudności z nabywaniem żwiru i piasku. Jak wynika z ustaleń wojewódzkiego zespołu, od 25 września br. sprawę uregulowano. Sprawdzamy: jest czwartek, a więc dzień wyznaczony podobno dla „indywidualnych" klientów Wydziału Produkcyjnego Zakładu Eksploatacji Kruszywa w Podegrodziu. Rzeczywiście — sznur ciężarówek i ciągników z przyczepami stoi przed wagą. Ale moje sugestie, jakoby sprawa została uregulowana dopiero przed kilkoma tygodniami, wywołują zdziwienie. Józef Postróżny — rolnik z Olszany, Stanisław Młynarczyk — prywatny transportowiec i inni twierdzą zgodnie, że od dawna mogą w czwartki przyjeżdżać „w ciemno" po kruszywo. To samo wiedzą kierowcy z SKR Stary Sącz — Wojciech Cempa i Eugeniusz Pawełkiewicz. Andrzej Wąsowicz, wagowy, przyznaje, że czasem przedsiębiorstwa zapominają i przysyłają swe samochody w czwartki, ale wówczas otrzymują tylko jednorazowo kruszywo, by nie jeździły puste samochody — czwartek jest dla rolników indywidualnych.

Czemu więc wysuwano taki postulat? Kto się bawi w ciuciubabkę z administracją? Dlaczego Zakład Eksploatacji Kruszywa przedstawił zespołowi wojewódzkiemu sprawę tak, jakby wyznaczenie dla rolników jednego dnia było odpowiedzią na postulaty? Chęć zapisania sobie punktów w „akcji" realizowania wniosków obywatelskich?

Solidność, rzetelność... wiele się o nich mówi, ale powinna ona charakteryzować obie strony. Co zaś robią, na przykład, robotnicy Zjednoczenia Budownictwa Turystycznego, ci sami, którzy strajkowali i postulowali wiele, a którzy pracują na obiekcie powstającym opodal Rabki? Pracują? — nie, piją piwko. Ich kolega, kierowca, też „na piwku" rozwala — na oczach Edwarda Ligęzy — wyciągnięty przez nich ładnie w górę betonowy narożnik. Pytamy: kto zgłosi postulat o ukaranie sprawcy?

A nie jest to, niestety, jedyny wypadek marnotrawstwa, niechlujstwa, bezmyślności. Oburzające? Tak. I przerażające. Powiedzmy jasno: przy takich pracownikach nasza gospodarka nie osiągnie poziomu, na którym będziemy mogli zrealizować w pełni wszystkie obywatelskie postulaty.

Śledząc, jak robotnicze wnioski realizowane są przez powołane do tego organa — administrację, dyrekcje — trafiliśmy do nowosądeckiego „Nowomagu". Jeśli ktoś chce przykładów rzetelnego, poważnego traktowania załogi i jej spraw — znajdzie je tutaj.

„Nowomag" nie strajkował, nie miał przerw w pracy. Pod koniec sierpnia odbyło się burzliwe zebranie, na którym zgłoszono wnioski i postulaty. Spisano je, tak jak to uzgodniono z dyrekcją — poszczególnymi wydziałami i przedłożono komisji składającej się z przedstawicieli dyrekcji, rady zakładowej, komitetu robotniczego, organizacji partyjnej i — zaproszonego tu specjalnie — dyrektora ekonomicznego Zjednoczenia POLMAG. Komisja posegregowała materiały: jedne kierowano do władz nadrzędnych, inne rozpatrywano na miejscu.

Po dwóch dniach poszczególne wydziały otrzymały pisemne odpowiedzi w każdej sprawie — co, jak i kiedy zostanie załatwione przez dyrekcję, a jakie pisma zostały skierowane do wojewody, do zjednoczenia, do związków zawodowych. Kopie pism były dołączone do wykazu sporządzonego przez komisje.

Co załatwiono na miejscu?

Załoga żądała, między innymi, zagwarantowania premii dla pracowników fizycznych nie mniejszej niż 15% (dotychczas wynosiła ona maksimum 15%, a faktycznie — 5—7%). Zjednoczenie dofinansowało zakłady i nowe premie wchodzą w życie.

Wiele uwag nasuwały różnice w normowaniu poszczególnych prac. Komisja robotnicza z udziałem służb technologicznych i normowania przejrzała pod tym względem wszystkie stanowiska pracy i wszędzie, gdzie to było możliwe dokonano poprawek.

Żądano przyznania dodatku za pracę w warunkach szkodliwych dla zdrowia nie tylko osobom wykonującym te prace, ale i tym, które pracują obok, w tej samej hali. Znów komisja sprawę zbadała i ustalono, że do czasu dokonania rozdziału technologicznego dodatek „szkodliwościowy" będzie wyplacany zgodnie z postulatem. Równocześnie, po konsultacji ze zjednoczeniem, podniesiono go o 100—150%.

Wnioski dotyczące rozdziału odzieży ochronnej zyskały odpowiedź w postaci decyzji o wprowadzeniu od nowego roku tzw. książeczek mundurowych, tak że każdy będzie mógł sam czuwać nad prawidłowością przydziałów.

Brak w zakładach szatni i natrysków — obecne są stanowczo za małe. Załoga otrzymała zapewnienie, że z chwilą przeniesienia do Kamionki Wielkiej (niedługo) stolarni, jej dawne pomieszczenia zostaną zaadaptowane na pomieszczenia socjalne.

Wiele mówiono o braku informacji wewnątrzzakładowej. Znamienne zresztą, że od dawna w magazynach spoczywał sprzęt niezbędny do zorganizowania radiowęzła, ale nikt się nie kwapił do pracy nad jego zainstalowaniem. Teraz został on przekazany komitetowi robotniczemu i jeszcze w październiku zostanie nadana pierwsza audycja.

Rys. Henry Buttner

Były i wnioski o charakterze personalnym — jedyne, których nie załatwiono od ręki. Spowodowano, że komitet robotniczy rozmawiał z osobami, do których miał zastrzeżenia, dając im szanse obrony. Ostatecznie został zmieniony jeden brygadzista, co do którego zresztą i dyrekcja miała od pewnego czasu zastrzeżenia. Odejdzie on w czasie ustawowym.

Te przykłady operatywności i obustronnej dobrej woli, rozwagi i mądrości w rozpatrywaniu każdej sprawy cieszą i budzą szacunek. Świadczą o jednakowym rozumieniu pojęć „dobro zakładu" — „dobro załogi" i — nie wstydźmy się wielkich słów — „dobro kraju" przez dyrekcję i robotników.

Jerzy Leśniak

WIELKA MARTWA PŁYTA

Fakty są następujące: na osiedlu Barskie II montuje się budynki mieszkalne z płyt budowlanych OWT produkowanych przez wytwórnię Nowosądeckiego Kombinatu Budowlanego przy ul. Zielonej. Znaczna część elementów przywożonych na budowę jest mocno zdefektowana tzn. popękana, porysowana, z licznymi odłamaniami i krzywiznami. Otwory służące do prowadzenia przewodów elektrycznych są zalane zastygłym betonem. Idą więc w ruch łomy i młoty — aby wykuwać odpowiednie dziury. Na nowo przygotowuje się sprefabrykowane (teoretycznie — jak widać) płyty do montażu. Efekty — do sprawdzenia w nowo oddanych mieszkaniach. Odczuwamy w nich zimno i wilgoć, nie istnieje izolacja akustyczna. Przeciekają i przemarzają ściany. W sumie — ewidentne marnotrawstwo materiałów budowlanych, czasu i zdrowia.

Spróbowałem dociec, dlaczego w obrębie jednego przecież przedsiębiorstwa, wytwórnia OWT produkuje wyroby z felerami, a robotnicy na budowie — zamiast zająć się swoją robotą tj. montażem — muszą dokonywać poprawek. Do głównych przyczyn fatalnego stanu ścian i stropów należą: braki jakościowe w produkcji wynikające z nieprzestrzegania reżimów technologicznych i norm wymiarowych, bałagan organizacyjny oraz niedokładności w czasie transportu powodujące dalsze uszkodzenia.

Wybrakowane płyty nie powinny opuszczać wytwórni. Dlaczego więc wyjeżdżają za bramę? Kontroler jakości z dziarską miną oświadcza, że nie jest w stanie obejrzeć gotowych już elementów, ponieważ... stoją one obok siebie w odległości kilku centymetrów. Istotnie — niemożliwe jest dostrzeżenie rysy na środku kilkumetrowej płyty obłożonej innymi. Ale jeżeli kontroler nie kontroluje, to za co mu się płaci? Albo zlikwidujmy warunki, które nie pozwalają na sprawdzenie efektów produkcji, albo zrezygnujmy z fikcji, jaką jest taka kontrola jakości. Robota powinna być bowiem tak zorganizowana, aby się widziało, czy się robi dobrze, czy źle. Dla NKB jest to — jak na razie — zbyt skomplikowana sprawa.

Wyjeżdżają z ul. Zielonej ściany i stropy o niewystarczającej wytrzymałości transportowej i rozsypują się w drodze. Dlaczego? Po prostu dopuszcza się do produkcji składniki nie odpowiadające żądanej recepturze. Stosuje się np. piasek o 8-procentowym zapyleniu, który nadaje się jedynie do tynku i gładzizn, nie zaś do wiązania betonu. O tym wie każdy uczeń zasadniczej szkoły budowlanej, nie wiedzą zaś ci, którzy są odpowiedzialni za jakość płyt OWT. Zastanawiające są przywozy piasku klasyfikowanego z Dębna Podhalańskiego (tam i z powrotem 150 km). Lekką ręką szasta się paliwem, którego widocznie NKB i „Transbud" posiadają w nadmiernej ilości. Przypomnieć należy, że pod nosem znajdują się żwirownie w Podegrodziu, Brzeznej, Starym Sączu i Marcinkowicach. Podobnie jest ze żwirem. Tzw. podziarno o średnicy poniżej 5 mm (stosowane w 60 procentach powyżej dopuszczalnej normy) powoduje odpryśnięcia, pęknięcia, wpływa ujemnie na wytrzymałość elementu.

Dział Zaopatrzenia dostarcza węgiel bardziej przypominający błoto aniżeli paliwo o właściwej granulacji. Nie pali się on, lecz topi. Nie może więc utrzymać wymaganej długości płomienia. W rezultacie proces naparzania płyt trwa 20 i więcej godzin, zamiast 8—10. Aby ratować sytuację dodaje się koks — co jest zabronione — gdyż niszczy on żeliwne ruszta.

— *Dlaczego nie reklamujecie niskiej jakości węgla i innych surowców?* — pytam.

— *Czy pan zwariował?* — brzmi odpowiedź. — *Kooperant się obrazi i legalnie odmówi przyszłych dostaw...*

Żadną miarą nie można wszakże zwalić na kooperanta faktu, że pomimo decyzji Ministra Budownictwa i Materiałów Budowlanych z marca br. nadal nie zamontowano nowych form betoniarskich. Leżą one na placu, a te które pracują, są już mocno zużyte. Właśnie tu tkwi przyczyna nieprawidłowej wibracji, która powoduje wlewanie się mleczka cementowego w miejsce wkładek na bateriach i zalewanie otworów.

Dyrektor ds. środków produkcji, mgr inż. Tadeusz Dośla, widzi tylko dwie możliwości: albo przerwać produkcję na kilka miesięcy (dla dokonania koniecznych remontów i uzupełnień, przeszkolenia załogi itd.), albo robić płyty-straszydła, połamane i popękane. — No cóż, z dwojga złego... — dyrektor Dośla rozkłada ręce... Sądzi, że w obecnej sytuacji przy tak wielkich potrzebach mieszkaniowych — bluźnierstwem jest nawoływanie do poprawy jakości, bo będzie to zajmowało czas, a przez to zmniejszało ilość montowanych izb.

Otóż nie, obywatelu dyrektorze, nie można przymykać oczu wobec spartolonej roboty! Interes członka spółdzielni-lokatora jest ważniejszy od wskaźników. Nikt już nie zliczy, jakie straty ponosimy z tytułu owych ubytków ciepła, przecieków, pęknięć, zmarnowanego zdrowia, czasu i materiałów. Co zrobić np. z pęknięciem pionowym ściany? Czy też nie da się tego uniknąć? Polska norma określa ją wyraźnie, gdzież więc są służby nadzoru, inspekcje pracy, które dopuszczają te elementy do montażu? Wydaje się, że cały dozór wraz z pracownikami produkcji podstawowej zaniedbał swe obowiązki i nie przestrzegał zasad określonych dokumentacją konstrukcyjną w poszczególnych fazach jej realizacji.

Błędy i zaniedbania występują i na prefabrykacji i na montażu. Gdy przychodzi szukać winnego, jedni zwalają na drugich. „Klawiszowanie" lub tzw. „smarkanie" (w gwarze budowlanej są to doraźne zabiegi mające na celu powierzchowne łatanie dziur, szpachlowanie rys, doprawianie odłamków) tak już przyrosło do OWT, że nawet komisje dokonujące lustracji mieszkań mówią lokatorom: nic się nie da zrobić...

A gdyby tak mieszkanie z pofałdowanym sufitem i ścianami podlegało obniżce ceny, różnicę zaś pokrywałby z własnej kieszeni wykonawca? Może w wypadku stwierdzonych odstępstw od określonych dokumentacją wymogów należy stosować sankcje w stosunku do wszystkich tj. brygadzisty, majstra, kierownika wytwórni, dyrektora produkcji, a w krańcowych przypadkach wnioskować o cofnięcie uprawnień budowlanych?

„Dunajec" zwraca się do dyrektora naczelnego NKB o odpowiedź na pytania, kiedy z wytwórni OWT przy ul. Zielonej przestaną wyjeżdżać płyty nie przygotowane do montażu bloków? Jakie kroki zostały podjęte w tym kierunku oraz kto (personalnie) ponosi odpowiedzialność za oczywisty bałagan, a nawet złą wolę w tej materii. Czas najwyższy uporządkować własne gospodarstwo.

Fot. STANISŁAW ŚMIERCIAK

P.S. Dyrektor Zakładu Eksploatacji Kruszywa w Nowym Sączu, mgr inż. Jan Warcholik, głęboko się zdziwił, kiedy dowiedział się od nas o kłopotach NKB z piaskiem: — W każdej chwili gotowi jesteśmy dostarczyć NKB nie 4 tys. ton piasku, ale nawet 8 tys. ton. Tylko jak dotąd nikt się do nas z tą sprawą z NKB nie zwrócił.

W POSZUKIWANIU NOWYCH

W wyniku prac poszukiwawczych prowadzonych na nizu polskim znaleziono przed 18 laty pierwsze złoże ropy w woj. zielonogórskim. Odkrycie to zapoczątkowało intensywny rozwój poszukiwań, szczególnie na obszarze monokliny przedsudeckiej. Zlokalizowano i udokumentowano wiele, niestety, małych złóż ropy naftowej oraz rejony gazonośne np. pomiędzy Wolsztynem, Poznaniem i Jarocinem.

Obecnie prace te na terenie Polski południowo-zachodniej prowadzi Zakład Poszukiwań Nafty i Gazu w Zielonej Górze. Jednym z jego osiągnięć było udokumentowanie i przygotowanie do eksploatacji złoża gazu ziemnego. Jego wydobycie zwróciło już co najmniej trzykrotnie nakłady poniesione na prace wiertnicze i dokumentacyjne.

Odkryte i udokumentowane dotychczas złoża nie mogą być eksploatowane już obecnie. Proces ten — i to w odniesieniu do każdego złoża — musi być rozłożony przynajmniej na 15 lat. Dlatego też zachodzi konieczność importu gazu. Według obecnych wyliczeń, dokonanych na podstawie analizy badań geologicznych oraz innych prac naukowych, dalsze lokalizowanie i dokumentowanie nowych złóż gazu ziemnego i ropy naftowej musi trwać jeszcze przez okres 30 lat. I to przy założeniu że prace poszukiwawcze zostaną znacznie zintensyfikowane.

Niestety, występują znaczne trudności. Brakuje m. in. środków transportu i tak podstawowych narzędzi, jak świdry do wiercenia. Dotychczas wytwarzał je w potrzebnych ilościach gorlicki „Glinik". Jego produkcja zmalała ostatnio dość znacznie ze względu na brak odkuwek ze specjalnych gatunków stali. Potrzebne świdry sprowadza się więc z importu (NRD). Są one jednak trzykrotnie droższe i również — jak twierdzą fachowcy — gorsze od krajowych.

W rzeczywistości nakłady na ten cel są niższe o wartość rozpoznanych przy okazji złóż innych surowców i minerałów. Podczas wierceń pracownicy Zakładu Poszukiwań Nafty i Gazu w Zielonej Górze określają m. in. wielkość i zaleganie złóż węgla brunatnego, rud miedzi, soli potasowo-magnezowych i soli kamiennych oraz występowania wód mineralnych. To dzięki wierceniom można było zaprojektować budowę nowych uzdrowisk w Łagowie w

Zbiorcza Szkoła Podstawowa Nr 2 w Szczawnicy-Krościenku otrzymała imię Jana Wiktora — pisarza związanego z ziemią pienińską wieloma latami życia i twórczości.

W uroczystości uczestniczyli przedstawiciele wojewódzkich władz oświatowych, władz politycznych i administracyjnych miasta, przyjaciele Pisarza oraz nauczyciele i uczniowie pozostałych szkół Szczawnicy-Krościenka.

Co z dobra i miłości
wyszło,
dobrem zostanie

Elżbieta Glinka

Testament JANA WIKTORA

Fot. PAWEŁ GRAWICZ

Jeszcze nie wiem — jeszcze nikt nie wie, że najpiękniejsze chwile są dopiero przed nami. Oto przed rzędami krzeseł pojawia się drobna sylwetka starszej pani, uśmiechniętej i wzruszonej. MARIA BIELAWSKA — pierwowzór nauczycielki z Wiktorowskiej „Orki na ugorze". Ta sama, co to...

...W wolnych godzinach szła do chłopskich chat z książką, uczyła poczucia krzywdy, dźwignięcia się z pierwotnego stanu, chciała ruszyć z bezwładu, pchnąć naprzód, a z pożaru, który obejmował świat, wyjmowała parę rozżarzonych węgli, aby podpalić zmartwiałe dusze. W pracy nie chciała widzieć ciężkich warunków swego bytowania, aby nie wkradło się zniechęcenie. Wiara w owocność wysiłków była podnietą. Pragnęła iść drogą wytyczoną przez powołanie. Była z zamiłowania nauczycielką.

Dziś stoi przed wnukami swych uczniów, i opowiada im o Pisarzu, o jego wielkiej miłości do ludzi, do historii tej ziemi.

— Jan Wiktor tak bardzo pragnął tego, by młodzież bacznie strzegła prastarych tradycji, pieśni, obrzędu — przypomina. — Jakże by się radował, widząc was w tych pięknych strojach, słysząc pieniński nutę!

Pani Bielawska przywiozła od swych współpracowników dzisiejszych — bibliotekarzy z Bochni — zdjęcia, fotokopie dokumentów związanych z życiem i twórczością pisarza. Wręcza je dyrektorce szkoły, Czesławie Wójcik.

— Niech się staną zalążkiem izby jego pamięci — prosi. — A to jeszcze dla was, najmilsi — zwraca się bezpośrednio do uczniów, wręczając im olbrzymią torbę... lizaków.

Z pierwszego rzędu podnosi się pięcioro ludzi. Rodzice? Dziadkowie? Ale — co to? Czemu pani Bielawska ma łzy w oczach?

— Droga, kochana nauczycielko! To my, twoi wychowankowie; ci z „Orki na ugorze", sprzed czterdziestu lat — Józef Jama wita panią Marię w imieniu swoim i swych szkolnych koleżanek: Julii Gacek, Marii Zachwiej, Władysławy Ciesielki i Ewy Szczepaniak.

Powstaje małe zamieszanie. Tego nie przewidziano w programie imprezy. Rozglądam się po sali — jak tę najpiękniejszą lekcję wychowawczą odbierają młodzi? Niepotrzebnie się troskam...

Spotkanie nauczycielki z dawnymi wychowankami zrywa tamy i oto wczorajsi uczniowie jeden przez drugiego chcą opowiedzieć uczniom dzisiejszym o swoich szkolnych dniach. O tamtych odeszłych w przeszłość bezpowrotną czasach, gdy Szczawnica dopiero budziła się z głębokiego snu ciemnoty, zacofania, nędzy. Jak to mówił w „Orce" Tomala?

Dawniejsze dzieci zemściły naukę, a teraz od książki nie można ich oderwać ani zatrzymać w domu. Mówimy, że ludzie na wsi maszczą sobie zębami jedzenie. Trudno byłoby żyć, ino się spodziewamy, że może się w innym też odmieni na lepsze, jak się odmieniło w szkole.

Helena Czaja, także uczennica pani Bielawskiej, a dziś dyrektor Bibliotek Miejskich i najgorętsza propagatorka twórczości Jana Wiktora, wspomina:

— Jak Naprawa dzięki „Grypie..." Jalu Kurka, tak Szczawnica za sprawą „Orki na ugorze" Jana Wiktora głośna była w całej Polsce. Pisarz budził sumienia, wstrząsał ludźmi. Dzisiejszej młodzieży trudno uwierzyć, że można było tak egzystować. Ileż się namęczyłam, gdy chciałam przygotować scenkę z książki o tym, jak to Alojz zlewa w szkole do kałamarza herbatę, by zanieść ją chorej matce. Czego ci dzisiejsi młodzi mogą tak bardzo pragnąć, by zrozumieć pragnienie Malinowskiej wypicia raz w życiu słodkiej herbaty?

Za chwilę wkroczył obdartus, który, na nikogo nie patrząc, stanął w środku klasy z zadartą, rozwichrzoną głową i śmiał się do nauczycielki bielą zdrowych zębów. Połatane chodaki zostawiły na podłodze swoje odbicie, aby choć w ten sposób utrwalić uroczyste wejście. Portki krótkie, ze zgrzebnego płótna, poplamione błotem, przepasane sznurkiem, jednoczyły się z czarną, rozchełstaną koszulą. Łatom, dziurom i nędzy urągały oczy śmiało patrzące. Mocne, harde ślepia.

Rzekł krótko — Ucigem z domu. Mama mi umarli, ciotka mnie biją i jeść nie dają. Mierzi ich, kiej czytam drukowane, a mnie wse ciągnie do książki.

Patrzę na trójkę uczniów recytujących fragment książki: zdrowi, silni, wybujali jak szczawnickie modrzewie — ileż oni wiedzą, ile pojmą ze słów, które wypowiadają ich usta? Dla nich to egzotyka, gorzka baśń z bardzo wątpliwej przeszłości, inny, nieprawdopodobny świat. Po cóż uciekać z domu do szkoły, skoro w naszym kraju istnieje ustawowy obowiązek powszechnej nauki? Jak można przyjść na lekcje boso i w podartych portkach, skoro można kupić nowe, choć stare jeszcze całe? Tym młodym niepotrzebna, jak dawnej Julce Gaweł z Krościenka, pomoc, choćby najbardziej dyskretna i delikatna jak ta, którą niósł Jan Wiktor, z prywatnej kieszeni.

Dziś zobaczyłam przedziwnie jasno owoce swojej „orki na ugorze" — powie za chwilę Maria Bielawska. — Przywykło się uważać, że taka „orka" to trud bezproduktywny. A przecież każdy rolnik wie, że ugór, w który włoży się pracę i serce, plonuje najwspanialej. Wdzięczna więc jestem Szczawnicy, że tu właśnie mogłam pracować, że przeżyłam tu swoje górne i chmurne lata.

A później, gdy już została odsłonięta w holu szkoły piękna pamiątkowa tablica, zasiedliśmy do długiej rozmowy o sprawach i dobrych, i trudnych, jak choćby sprawa pokoju w willi ofiarowanej przez pisarza miastu, której dzisiejsi gospodarze: Fundusz Wczasów Pracowniczych nie zgodzili się na wydzielenie jego izby na żywe wiktorowskie muzeum, bo żal im było trzech wczasowych łóżek! Mówiliśmy też o braku w mieście domu kultury i innych problemach.

I wówczas Maria Bielawska raz jeszcze pokazała, że jest naprawdę wielką społeczniczką i mądrym pedagogiem. Jakby nie czuła balastu lat.

— Kłaniam się niziutko szkole, kłaniam się niziutko władzom, które taką wspaniałą szkołę dzieciom dały. Ale też przypominam: wnętrze człowieka buduje się książką. Dlatego musimy za wszelką cenę dbać o czytelnictwo. Dlatego proszę: spójrzcie na tutejszą bibliotekę! W jakich ona warunkach pracuje?

Kiedy po raz pierwszy po czterdziestu latach przyjechałam do Szczawnicy, nie mogłam jej poznać, tak wypiękniała. Gdy przyjadę za następne 40 lat — niechże zobaczę piękną bibliotekę. Tylko proszę się pospieszyć, bo wypadki chodzą po ludziach... — słowa jej zagłuszył śmiech obecnych.

— Ale w którym miejscu, proszę państwa?

Helena Czaja rzuciła:

— Na skrzyżowaniu dróg ludzkich. A tak realnie: podobno Urząd Miasta ma się przenieść do Krościenka, więc może w jego obecnej siedzibie?...

— Zastanowimy się! — zadecydowała pani Bielawska. — A to na fundusz budowy nowego gmachu — sięgnęła do torebki i wyjęła monetę. — Kto dołoży?

Zaraz znalazła się jakaś czapka, obiegła nas wszystkich. Wśród ogólnego śmiechu 500-złotowy „fundusz założycielski" złożono przed Naczelnikiem.

Józef Gąsienica przyjął wyzwanie. Potwierdził, że myśli o przekazaniu swego budynku Bibliotece, wie jednak, że będzie to i tak tymczasowe rozwiązanie. Niechże więc powstanie Komitet Społeczny Budowy, a władze miasta wesprą go w miarę swych możliwości.

— Słowo? — upewniła się pani Maria.

— Słowo! — potwierdził Naczelnik.

SUROWCÓW MINERALNYCH

woj. zielonogórskim i w Lubniewicach oraz Długiem w woj. gorzowskim. Odkryte zasoby wód mineralnych są już częściowo np. w rejonie Sulechowa i Chynowa, eksploatowane przez rozlewnie gminnych spółdzielni. W wielu złożach gazu ziemnego występuje też hel, który jest eksportowany. Natomiast uzyskiwany w Zakładzie Uzdatniania Gazu w Odolanowie k/Ostrowa Wlkp. ciekły azot jest wykorzystywany tylko w minimalnym procencie. A więc prawie w całości wypuszcza się go do atmosfery. Tymczasem niektóre jednostki gospodarcze i naukowe uzyskują go stosując drogą aparaturę. Warto więc chyba zastanowić się nad celowością zagospodarowania ciekłego azotu pochodzącego z Odolanowa.

Pracownicy Zakładu w ub. roku udokumentowali znaczne złoże gazu, a również w tym roku przekażą oni dokumentację oraz przygotują do eksploatacji kolejne złoże tego surowca. Ponadto w okolicach Poznania zlokalizowano i udokumentowano dalsze złoża gazu zawierającego małe ilości szkodliwych domieszek o dużej wartości kalorycznej. Wykształcił się więc nowy rejon gazonośny. Dokumentuje się też złoża o mniejszej wartości, zawierają one bowiem spore ilości siarkowodoru. Potrzebna jest więc aparatura do uzdatniania tego gazu, jaką wytwarza się we Francji. Stosują ją m. in. RFN i NRD, a także Związek Radziecki.

Złoża gazu ziemnego na niżu polskim występują w utworach czerwonego spągowca. Natomiast ropa naftowa przeważa w poziomie dolomitu głównego i wapienia podstawowego. Prawdą jest, że dotychczas nie udało się natrafić na złoża „wielkiej ropy", chociaż naukowcy nie tracą wciąż nadziei. Wydaje się, że te nadzieje wiążą oni z występującą na terenie Polski taką samą budową geologiczną, jak na Morzu Północnym, gdzie, jak wiadomo, eksploatowane są obecnie zasobne źródła ropy naftowej przez Wielką Brytanię i Norwegię. Niezależnie od finansowania rozpoczętych ostatnio bardzo kosztownych prac wiertniczych na Bałtyku, warto chyba więcej uwagi i środków poświęcić również pracom poszukiwawczym na lądzie. Jest to tym bardziej konieczne, że szelf bałtycki zbudowany jest z takich samych utworów, jakie występują na niżu polskim. **(PAP)**

„Wokół Podhala"

Z dużym opóźnieniem dotarł do nas niekonwencjonalny przewodnik turystyczny pt. **„Wokół Podhala"**, napisany przez **Janusza Zdebskiego**. Autor proponuje w nim odbycie okrężnej wycieczki na trasie Nowy Targ — Ludźmierz — Czarny Dunajec — Chochołów — Witów — Zakopane — Poronin — Bukowina Tatrzańska — Nowy Targ. Daje też syntetyczny rys historyczny poszczególnych miejscowości, przypomina związane z nimi legendy, sagi sławnych rodów góralskich oraz kreśli charakterystykę niezwykle bogatej kultury ludowej i folkloru góralskiego. Przedstawione są też m. in. koleje niezwykłego sporu o Morskie Oko; o to, czyją własność stanowią jezioro i tereny położone wokół niego. Osobny rozdział stanowi prezentacja Morskiego Oka w literaturze i sztuce. To najsłynniejsze tatrzańskie jezioro (o którym jeszcze sto lat temu sądzono, że ma bezpośrednie połączenie z morzem) jest jednym z nielicznych miejsc w naszym kraju uwiecznionych przez tak wielu twórców. Wiersze o Morskim Oku pisali Asnyk, Tetmajer, Pol, Nowicki, Witkiewicz, Kasprowicz, Wyspiański, Rygier, Lewin, malowali zaś Wyczółkowski, Gerson, Noskowski Eliasz-Radzikowski i inni. Jako ciekawostkę autor podaje fakt, że akcja „Samuela Zborowskiego", dzieła Juliusza Słowackiego, który przecież w Tatrach nigdy nie był, rozgrywa się także w Morskim Oku.

Czytelnik przewodnika odnajduje w nim także opisy zabytków architektury podhalańskiej, rezerwatów przyrody nieożywionej, skamieniałości i unikatów z zakresu flory i fauny tatrzańskiej.

Pomimo że Podhale należy do najpopularniejszych w naszym kraju regionów turystycznych, wydaje się, że wiele spośród przedstawionych w przewodniku miejscowości i tras wycieczkowych nie jest znane przeciętnemu turyście. A poznać je niewątpliwie warto, aby — jak zaznacza Autor we wstępie — uchwycić jeszcze odchodzący w przeszłość podhalański folklor, zobaczyć oryginalne, drewniane, górskie budownictwo, zwiedzić piękne zakątki tej skalnej ziemi.

Uzupełnieniem przewodnika są czarno-białe i kolorowe fotografie **H. Hermanowicza, A. Łęczyńskiego, A. Podleckiego** i **B. Prażanowskiego**, a także praktyczne informacje turystyczne ze szkicami szlaków i tras pieszych oraz mapki.

(J. L.)

Janusz Zdebski, „Wokół Podhala", Krajowa Agencja Wydawnicza, 1979, ngz. 50 350, str. 76, cena 30 zł.

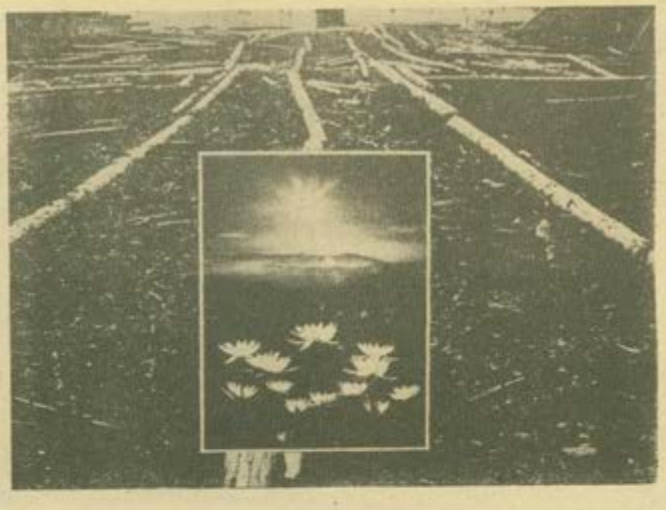

Jerzy Żak

ZAMIAST RAPORTU O STANIE PRZYRODY...

Temperowanie piór

rubryka ZBIGNIEWA SIATKOWSKIEGO

W dalszym ciągu zajmujemy się poezją.

Pani Danuta B. z Bydgoszczy, Gdańska, Kamionki Wielkiej, wakacyjna wojażerka, nadesłała dwa listy i gruby fascykuł wierszy. Podkreślam tę wakacyjność, gdyż całkiem jest możliwe, że to właśnie z powodu wczasowego rozluźnienia i rozradowania tak skutecznie ją napadł skrzydlaty złoczyńca. Lecz jeśli napadł, bodaj nie pomylił się w wyborze. Wiersze ujawniają sporo uzdolnienia i temperamentu, a przy tym spontaniczność wyobraźni. Pani ma ucho do słyszenia polszczyzny, z której może stawać się poezja. Słowa u Pani dźwięczą niestereotypowo, bo są nieraz pięknie, odświeżająco z sobą pozestawiane. Sama Pani słusznie nazywa swoje pisanie: *„rymowanki, przekręcanki, układanki, wymyślanki"*. Dużo tu migotań, przywabień rytmami pieśni ludowej. Słowa, zestawienia słów, frazy, całe zdania układają się Pani chwilami w kunsztowne łańcuszki. To celność języka. Z bogatych paralelizmów, z brzmieniowych powtórzeń wykształcają się zaklęcia, inkantacje, przysięgi, dumne litanie rozgorączkowanego serca dziewczęcego. *„Listy napisałam, wici rozesłałam. Przyjaciele przyjaciele* [...]". We wszystkim nadto gwałtowność i jaskrawość jakby z hiszpańskiego folkloru, choć o Sądeczyźnie mowa (już Jalu Kurek pokazał, jak z namiętnością andaluzyjskich romanc można pisać o przyjordanowskiej Naprawie). Tu zwłaszcza ładnie brzmią, bo Lorką brzmią, zwrotoczki nierymowanymi ośmiozgłoskowcami stukające, trocheje. Znalazła Pani sobie kilka motywów stałych, powracających, perseweracyjnych: drzewa, jawor, domek jaworowy, sercem dom budować, dziewczyna zielona. Na dobre to wyszło.

Ogromnie nasłonecznione są i ogromnie kobiece Pani wiersze. Wylew, wytop uczucia. Wszystko lub nic, pasje, miotanie samej siebie głową w dół bez strachu, hardość nieoszczędzania siebie piszącej, śmiałość śmieszności. Zar. Od tysiącleci z tego wynika poezja i nadal wynikać będzie.

Nie ma to jak komunikacja ludowa:
z ust do ust.
Lecz jeśli skały, jeśli obcy?
Usta zamknięte,
nieszczere, zalgane?
Czyich ust mam szukać?

Zatem skoro jest tak ciekawie a obiecująco, czegóż brak? Konstrukcji. Selekcji. Przecedzenia wierszy raz i dziesiąty. Oto druga strona medalu. Wszystko, co Pani przysłała, stanowi ledwie pierwopis. Serce wrze, słowa spływają na kartkę — i jest to koniec roboty, zamiast by dopiero początek. Bo tu pracować trzeba, i to twardo, nielitościwie, nad celowością układu zdań, nad antyprzypadkowością wyobrażeń i skojarzeń. A więc nad sensem własnych wierszy. By było jasne, o czym są, i że nie są o czymkolwiek innym. *„Może zbyt szybko chciałam naturze dogodzić"* — pisze Pani sama. Pełne ognia enumeracje jak z Guilléna czy Pabla Nerudy — rzecz piękna, ale obok nich jest mnóstwo tekstów banalnych, nie wierszy nawet, lecz ledwo notatek jakichś sytuacji. Ja na dworcu, ja z leśniczym, ja przy kiosku, zimno mi. No i co? Poezję trzeba by z tego robić dopiero. Niedbałość słowa u Pani: czasem aż prowokacyjna. *„Oskarżam obywatela* [...], *że zaraził wczasowiczkę skierowaną pod jego dach* [...] *nieuleczalną chorobą zakaźną"*. A ma tu chodzić o zakażenie poezją. Domyśliłby się kto? Zachwyciłby się? O swoim — czy w natchnieniach swoim — chłopcu nie wystarczy powiedzieć *„chłopiec złoty"*, aby w tym było tyle poezji, co w pamiętnych słowach *„sen jaki złoty"* czy *„złota kora pod liściami"*. Gdyż frekwentacja, pospolitość; gdyż co druga zakochana dziewczyna mówi tak do swego bez zdobywania się aż na wiersze. Słowo poetyckie jest właśnie jak samorodek złota: jedna grudeczka wśród wielu ton żwiru-banału. Cierpliwie przesiewać, przebierać, nieraz do okrwawienia palców. Inny sposób nie istnieje. I walczyć z naiwną wielomownością, nie pozwolić kąśliwcom, by twierdzili, że u Pani to także jest kobiece. Bo na razie niejeden Pani wiersz odznacza się rzeczywiście tym, co Gałczyński tak uparcie ośmieszał u wymyślonej przez siebie (czy raczej zsyntetyzowanej) poetki Hermenegildy Kociubińskiej. Proszę to sprawdzić i przemyśleć, jeżeli Pani gdzieś trafi na nowe, ślicznie zaprojektowane, pełne błędów korektorskich, rozsprzedane spod lad wydanie zbiorowe Gałczyńskiego. A po tej lekturze niech Pani z uwagą poczyta mistrzów lirycznej zwięzłości. Miłosz, Herbert, Szymborska, Ożóg, Urszula Kozioł, Różewicz, Zych. I spróbować samej: najmniej słów. Może po paru miesiącach znowu Pani coś świeżego przyśle? Nieśpiesznie. *„Bo potrzebny jest czas na dojrzewanie"*. Serdecznie pozdrawiam.

Za kilka tygodni porozmawiamy tu o bardzo ważnym problemie: o literaturze regionalnej i literaturze ludowej.

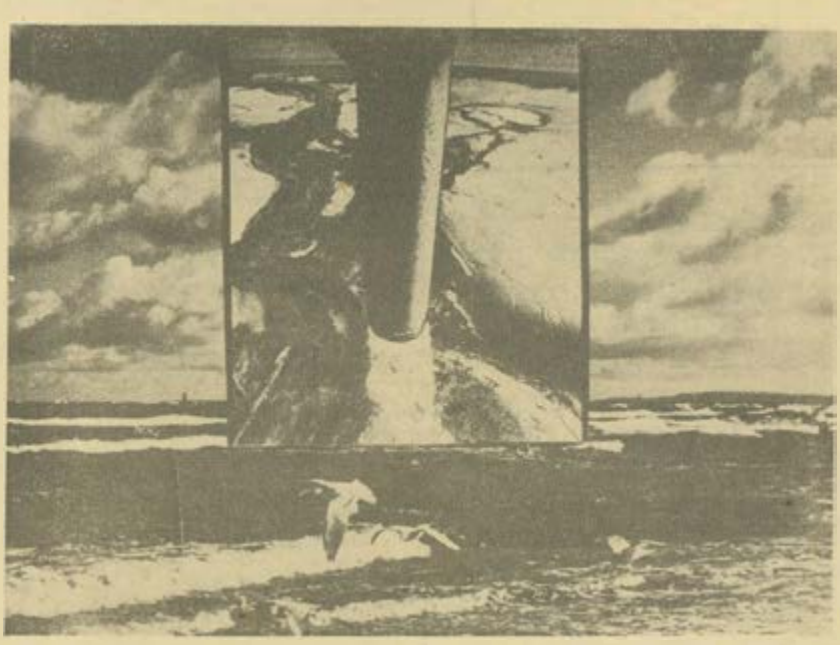

Jak w zwierciadle

Solidarność

Są słowa, które zamachnęła historia. Zamachnęła, bo wypaliły się nazbyt często zaśwlecane na wezwanie. Wiele ich. Mam nadzieję, że nie podzieli tego losu, że zachowa swą ludzką treść słowo umieszczone w tytule. Zanim jednak o nim porozmawiamy, trzeba wyjaśnić, że ta rubryka w „Dunajcu" poświęcona będzie omawianiu najciekawszych filmów pokazywanych właśnie bądź to w kinach naszego regionu, bądź też w telewizji. Najciekawszych nie tylko dla swoich wartości artystycznych czy widowiskowych, ale przez związek z ważnymi sprawami naszych czasów, które odbijają się na ekranie niczym w lustrze życia.

Wypadło, że pierwszym z tych filmów jest amerykański POWRÓT DO DOMU. Są w nim dwa tematy bardzo dzisiaj żywe. Jeden — to głęboki własny rozrachunek Ameryki z wojną wietnamską. Drugim jest właśnie solidarność w najwyższym sensie wspólnego podejmowania trudów człowieczego losu. Solidarność, która przeradza się w miłość.

Tak rozumianą solidarność przedstawiają nam scenarzysta Waldo Salt i reżyser Hal Ashby poprzez uczucia bohaterki, żony kapitana, właśnie oddelegowanego z Los Angeles do Wietnamu. Jest rok 1968. Sally (Jane Fonda) kocha swojego męża (Bruce Dern) i to wcale nie tylko dlatego, że ten jest stuprocentowym, pożądanym przez inne mężczyzną. Kiedy odleciał do Azji, Sally nie chce pełnić roli wzorowej i dystyngowanej żony oficera; nie widzi w tym żadnego powodu do dumy. Jej potrzebą jest istnieć dla kogoś: zgłasza się więc jako wolontariuszka-pielęgniarka do pobliskiego szpitala, gdzie prowadzona jest rehabilitacja żołnierzy, okaleczonych w wojnie w Azji. Początki są trudne: nie tylko dlatego, że trzeba się stykać z ogromem nieszczęścia młodych mężczyzn, ale także dlatego, że dopiero wewnątrz szpitala widać, jak cudzą sprawą jest dla ogółu społeczeństwa krwawa ofiara tych, którzy biją się rzekomo za wolność i naród. Sally jednak nie ustępuje. Swój wybór zaczyna rozumieć coraz bardziej jako obowiązek. Los przynosi jej wspaniałą nagrodę, choć wiążąc się to będzie z wielkimi dramatami bliskich.

Więcej o samej historii bohaterki POWROTU DO DOMU pisać nie będę; kto zechce film zobaczyć, sam będzie mógł ją poznać i przemyśleć. Napotka też w tym obrazie inne jeszcze wymiary solidarności: czyn okaleczonego żołnierza, który chce pomóc młodym rodakom w wyborze właściwej drogi — i tragiczną decyzję innego, pieczętującego swym godnym odejściem klęskę niesłusznych ideałów i braku myślenia o sposobie życia. Bo solidarność to nie tylko przyłączenie się do innych i ofiara; to także ustąpienie, gdy przyszedł czas konieczny.

Salt i Ashby umieli przedstawić te treści w bardzo żywej formie: POWRÓT DO DOMU zawiera niemal wszystko, co dziś najlepsze w kinie amerykańskim. Umiejętność opowiadania i ciepło opisu człowieka; znakomitą muzykę rockową i miękkie, pastelowe zdjęcia, jakże odpowiednie dla historii o miłości bez granic. Nie ma tu żadnego moralizatorstwa; są za to jasne sensy moralne i szczerość przytaczania wszystkiego, co ludzkie. Niech przykładem będzie (przepraszam, że zdradzam treść) ten fragment z pierwszej wspólnej nocy bohaterki i sierżanta ze szpitala (Jon Voight): od wielu lat nie zdarzyło mi się spotkać w kinie sceny tak ostrej erotycznie i jednocześnie tak głęboko umotywowanej psychologicznie i etycznie.

POWRÓT DO DOMU żyć będzie chyba w tych, którzy go zobaczą — tak jak żyje we mnie. Należy do filmów, które będę popierać, które są potrzebne. Dobrze, że wśród nich jest również wiele spośród ostatnich filmów polskich. Postaram się je przedstawiać amatorom kina wtedy, gdy trafią na ekrany naszego województwa. Wspominam zaś o nich tutaj dlatego właśnie, że prawie wszystkie pragną budzić to, o czym dziś mówimy: potrzebę naszej solidarności w podjęciu nowych wysiłków.

ADAM GARBICZ

Zaprosili nas...

...Zarząd Oddziału Związku Podhalan w Rabce na uroczystości jubileuszowe 50-lecia tegoż Oddziału ▲ GZP Wojska Polskiego, Zarząd Polityczny WOP, Wydziały Kultury i Sztuki UM i UW w Nowym Sączu na otwarcie ogólnopolskiej wystawy fotografiki amatorskiej pn. „Piękno żołnierskiej służby" ▲ Klub MPiK w Nowym Sączu na wystawę rzeźby ludowej grupy „Konary" ▲ Dyrekcja, Rada Pedagogiczna i Komitet Rodzicielski Zespołu Szkół Zawodowych w Grybowie na jubileusz 100-lecia istnienia szkoły. ▲ Miejska Biblioteka Publiczna w Gorlicach na otwarcie ekspozycji fotogramów Mieczysława Staszewskiego. ▲ Kuratorium Oświaty i Wychowania UW na spotkanie władz wojewódzkich z aktywem pedagogicznym — z okazji „Dnia Nauczyciela". ▲ Ćwierćwiecze istnienia obchodzi Zespół Szkół Samochodowych im. T. Tańskiego w Nowym Sączu, skąd również otrzymaliśmy zaproszenie na uroczystą, jubileuszową akademię. Serdecznie dziękujemy!

Światowa kariera Bolka i Lolka

Światową karierę zrobił polski serial „Bolek i Lolek", konkurujący z powodzeniem z filmami Walta Disneya o Mickey Mouse i Kaczorze Donaldzie. Wystarczy powiedzieć, że filmy te w Polsce — jak wykazały prace Ośrodka Badania Opinii Publicznej TV — ogląda 12 mln. dzieci i dorosłych, zaś w świecie ponad pół miliarda najmłodszych i najstarszych miłośników małego ekranu.

Filmy z Bolkiem i Lolkiem zdobyły sobie ogromną popularność, a „Film Polski" sprzedaje je do ponad stu krajów. Pokonały one wszystkie bariery językowe i religijne, a ostatnio, jako jedyne filmy zagraniczne, mogą być z wol[illegible] aja-tollahą Chomeiniego wyświetlane w... Iranie.

Oglądają je mali Amerykanie i Kanadyjczycy, Australijczycy i Nowozelandczycy oraz Rosjanie i Chińczycy. Podobizny Bolka i Lolka zdobią recepcje PLL „Lot" w Bangkoku, a pocztówki z kadrami z ich filmów zbierane są przez dzieci z całego świata.

11-letnia Raisa Rodina z Leningradu pisze: *Bolek i Lolek to moi ulubieni bohaterowie. Ich przygody są naszymi przygodami, a ich zabawy stają się także ulubione w naszym środowisku.*

12-letni Jim Harvers z Ottawy pisze: *„Bolek i Lolek" w Kanadzie to film ogromnie lubiany przez nasze dzieci. Chcielibyśmy je oglądać każdego wieczora.*"

Od 1963 r. zrealizowano już ponad 160 filmów z Bolkiem i Lolkiem, w tym również pierwszy pełnometrażowy polski film animowany „Wielka podróż Bolka i Lolka". Obecnie kończy się realizację tego filmu w wersji odcinkowej dla potrzeb TV.

Dzieci polubiły swych bohaterów, one też dyktują twórcom swoje upodobania i życzenia, wzbogacając filmowe przygody chłopców własnymi propozycjami i opowieściami. Na prośbę dziewczynek Bolek i Lolek otrzymali towarzyszkę zabaw — piegowatą Tolę, która odtąd bierze udział w niektórych przygodach ulubieńców.

Bolek i Lolek wyszli już dawno z filmowego kadru i ekranu TVP. Ich filmowe podobizny mogą własne, bo[illegible] życie w społeczności dziecięcej. W skład swego szczepu przyjęli ich harcerze z Wejherowa, a akt nadania członkostwa przesłano do Studia Filmów Rysunkowych w Bielsku-Białej. Natomiast Zarząd Główny Ligi Ochrony Przyrody mianował Lolka (tego grzeczniejszego) młodzieżowym strażnikiem przyrody. Bolek i Lolek byli symbolem zimowej spartakiady młodzieży w 1978 r. w Bielsku-Białej, a plakaty z ich podobiznami są prawdziwym rarytasem wśród zbieraczy. Obaj mają też honorowe odznaki Wodnego Ochotniczego Pogotowia Ratunkowego.

Staraniem Krajowej Agencji Wydawniczej wyszły pierwsze komiksy z Bolkiem i Lolkiem, a „Polskie Nagrania" wypuściły na rynek bajki Bolka i Lolka na płytach długogrających.

JÓZEF KLIŚ

Julian Kawalec

UBRANIE

Były w jego życiu lata, w których cieszył się — a chyba musiał się cieszyć — przemodelowanym ubraniem i przechodzonymi butami, kupionymi na placu wyprzedaży starzyzny, starym paltem po wujku nieboszczyku i koszulą z dziurami przemyślnie zszytymi i schowanymi pod marynarką, a także wyświechtanym kaszkietem, otrzymanym w darze od bogatego kolegi.

Były w jego życiu chwile, gdy wracając od ubogiego z dużą, łysą głową krawca i niosąc na wysuniętym do przodu, lekko ugiętym ramieniu to odwrócone spodem do wierzchu ubranie, nie mógł obronić się przed wielką radością, która sprawiła, że wyszeptał — jak nowe, zupełnie jak nowe, każdy powie, masz nowe ubranie, ho, ho...

Przecież nikt nie będzie wpatrywał się w drobiazgi i nie pozna, że górna kieszonka jest teraz z prawej strony i że dziurki które przy nicowaniu także musiały przejść na stronę prawą, zostały zacerowane, a na lewym brzegu marynarki zrobione nowe...

Ale przecież tego nikt nie zauważy, bo szwy na zaszytych dziurkach znalazły się pod guzikami i na pewno każdy powie — masz nowy elegancki garnitur, mógłbyś w nim iść do ślubu...

Jednak on wiedział, wciąż wiedział, że cieszył się tym, bo musiał się cieszyć; ale ta wiedza była w nim schowana głęboko, tak głęboko, że przy wielkiej radości prawie jej nie było; ale jednak była, wciąż była.

Ale nawet gdy nic nie mówili, rozmawiali z sobą, nawet wtedy gdy było tylko jej patrzenie i jego „defilada", rozmowa trwała; właśnie wtedy, gdy milczeli, wypowiadali słowa najważniejsze i to milczenie było ich rozmową główną, tą ich, można by rzec, podrozmową czy nadrozmową.

— Matko, ty wiesz, jak było...
— Wiem, synu, wiem...
— Rozumiesz mnie, bo przeżyłaś lata...
— Rozumiem cię, synu, rozumiem...
— Nie możesz się przecież śmiać ze mnie, bo wiesz, jak było...
— Nie śmieję się, bo żyję długo...
— Mówisz prawdę, matko...
— Tak, synu...
— Niczego nie ukrywasz, matko...
— Nie, synu...
— Niczego nie trzymasz w zanadrzu...
— Niczego nie chowam za pazuchą...
— Nieraz mi się zdaje, że nie mówisz wszystkiego...
— Tak myślisz, synu...
— Nieraz myślę, że się gniewasz na mnie...
— Dlaczego tak myślisz...

Jaka jest ta moja matka, znam ją a nie znam, przecież ją dobrze znam i odczytuję jej milczenie, czy odczytuję wszystko — tak myślał, gdy którejś pogodnej soboty szykował się do kolejnej wizyty w rodzinnym domu.

No bo gdyby się go, wracającego z tym przemodelowanym ubraniem od krawca, ktoś nagle zapytał — czy nie wolałbyś ubrania z nowej stuprocentowej wełny, czy nie wolałbyś, aby górna kieszonka była z lewej strony, a prawy brzeg marynarki nie miał zacerowanych dziurek i nie udawał materiału nie tkniętego dodatkową nitką.

Co odpowiedziałby, gdyby chciał szczerze odpowiedzieć na takie pytania; z pewnością musiałby wtedy wrzasnąć wściekle albo wyszeptać nieśmiało i wstydliwie — wolałbym...

Czyli wiedział, bo to nieustannie na niego czyhało, że cieszył się z musu.

Później przyszły niezbite dowody, że tak było, bo gdy czas się zmienił i on zasiadł na dyrektorskim fotelu w dużym przedsiębiorstwie i gdy polubiły go pieniądze, często zachodził do najlepszego sklepu po najdroższe wełniane materiały, z których kazał sobie szyć eleganckie ubrania u najdroższych krawców.

W ciągu kilku zaledwie lat szafy w jego mieszkaniu napełniły się ubraniami, płaszczami i nakryciami głowy przystosowanymi do pór roku, do różnych okazji i różnej pogody, na dni słoneczne i pochmurne, na przedpołudnia godziny popołudniowe i wieczorne.

Nabył też w niedługim czasie sporo butów, koszul, krawatów i szalików.

Lubił, gdy koledzy, znajomi i podwładni dostrzegali jego nowe, eleganckie ubiory; ale bardzo lubił w nowym, modnym ubraniu czy płaszczu, w nowym krawacie i nowych butach pokazać się swojej matce.

Prężył się i stąpał przed tą wiejską, starą kobietą o wąskiej, mądrej twarzy i głęboko osadzonych oczach, rozpinał marynarkę i rozchylał jej poły na całą szerokość dla ukazania blasku krawata i dobrej jakości koszuli, unosił nogawki, aby odsłonić buty i wzory skarpetek.

Wyczyniając różne wygibasy pozwalające ujrzeć nie tylko grę kolorów, ale też krój i formę ubioru, i defilując przed nią w różnych przechyłach i wygięciach, wpatrywał się w jej twarz i czytał, wyczytywał z jej oczu, słów i z jej milczenia niby z księgi to, że matka odbija się od tej godziny, w której on urządza ten pokaz samego siebie, ten teatr jednego aktora i że ona sunie w przeszłość niby w ciemność tą godziną jak ostrym światłem jaskrawo oświetloną, aby ujrzeć swoje niezliczone zabiegi przy przerabianiu starzyzny na nowość i usilne starania, aby buty, ubrania, łyżki, ławki, krzesła i miski trwały długo, aby rzeczom zapewnić długowieczność przez wielokrotne przerabianie, odwracanie spodem do wierzchu, powtórne glansowanie, chowanie części spróchniałych, a wystawianie na widok części jeszcze nie zniszczonych.

A potem i on podążał za nią do godzin wspólnych czasu przeszłego, w których razem zamęczali rzeczy, aby nie próchniały i nie rdzewiały, i nie wsiąkły w ziemię, aby „żyły" wiecznie.

W czasie tej defilady, tego jakby wolnego, dziwacznego tańca syna przed matką, było bardzo mało słów, częściej tę dużą izbę w starym wiejskim domu albo mały pusty placyk rozdzielający dom od sadu zalegała cisza.

Dzień był słoneczny i ciepły, więc włożył na siebie nowe jasnopopielate ubranie, koszula była niebieska, krawat w żywy bordo-niebieski wzór, półbuty jasnożółte, skarpetki ciemnoniebieskie w białe kółka.

Do górnej kieszonki wyciętej przepisowo z lewej strony marynarki wetknął dużą niby olbrzymi kwiat, błękitną w białe wąskie pasy chusteczkę.

Tak wystrojony wsiadł do własnego fiata; ale nim położył ręce na kierownicy, naciągnął na nie miękkie rękawiczki z irchowej skóry.

Wie jak będzie: jeszcze nie zbliży się do drewnianego płotu pomalowanego na zielono, a już w furcie ujrzy matkę — prostą, choć starą, poważną, choć ucieszoną; będzie we wzorzystym, wykrochmalonym fartuchu i w „tureckiej" chuście na głowie; ujrzy ją na pewno, gdyż zawiadomił o przyjeździe.

A gdy się zatrzyma przy płocie, ściągnie z rąk rękawiczki i wyjdzie z samochodu, trzepnie lekko dłońmi po nogawkach spodni, wyprostuje się, stanie na moment w pozycji przedmarszowej, a potem ruszy do matki.

Będzie szedł krokiem dość szybkim, ale starannym, uśmiechniętym, z uniesioną prawą ręką; i będzie chciał coś wykrzyknąć na powitanie, ale matka go wyprzedzi i powie — jesteś; i zaraz — ładnie wyglądasz, synu...

Tak się zawsze zaczyna i tak ma się zacząć dziś.

Po tych pierwszych słowach matki będzie przywitanie za furtką, przy studni, i kilka krótkich pytań, i kilka krótkich odpowiedzi.

A potem wejście na szeroką, ubitą ścieżkę ogrodu, zauważenie siostry i szwagra, którzy wyjdą z domu albo wysuną się spod przedłużonego, niskiego okapu obory i stajni, i wkroczenie na ten pusty placyk przed domem, gdzie zapanuje większa swoboda i gdzie odbędą się drugie — pierwsze były za furtką przy studni — bardziej dokładne oględziny tego, który przyjechał z miasta.

Będzie taka chwila na tym placyku, gdy oni staną po jednej, a on po drugiej stronie, i on wtedy wykona kilka obrotów, postąpi parę kroków do przodu i do tyłu, stanie nieruchomo i usztywni swą postać na kształt manekinu, aby ubranie mogło zawisnąć na nim czy może spłynąć po nim, czy może objąć go w swoich modnych, przepisowych liniach, aby przybrało jakby zastygłą formę pancerza, któremu dodatkowe zagięcia i fałdy może dać jedynie uderzenie młotem.

A potem nagle przejdzie w zupełne rozluźnienie, w którym strój ukaże swoją powiewność i elastyczność, a także bezbłędne układanie się do formy ciała i swoje — można by rzec — ruchy dopasowane do ruchów całej postaci.

Jak zachowa się matka — po co o to pyta samego siebie w łagodnym mroku gęsto do drogi przytulonych starych olszyn, dlaczego zadręcza samego siebie tym pytaniem pod tym gotyckim baldachimem, stworzonym przez dotykające się wierzchołkami drzewa...

Przecież wie, jak zachowa się matka, bo przecież nieraz już się to odbywało.

Ona się będzie cieszyć i powtórzy kilka razy — szykowny jesteś, szykowny...

Wie też, że po drugich oględzinach na placyku przed frontową ścianą domu szwagier albo siostra otworzy brązowe drzwi i powie — chodźmy do środka; i zaraz wszyscy wejdą do dużej izby, gdzie odbędą się trzecie oględziny tego, który przyjechał, i gdzie on z pewnością usłyszy — pan z ciebie, panisko...

A później będą pytania — co nowego, jak się żyje, co się zmieniło, kto umarł, kto się narodził; no i — rzecz jasna — odpowiedzi na nie.

To, że nie ujrzał matki w furtce, gdy zbliżał się do zielonego, drewnianego płotu, nie mogło przecież świadczyć o tym, że się coś złego stało; ani też to, że gdy zatrzymał wóz i patrząc przez otwarte okno w samochodzie, mógł się przekonać, że jej nie ma przy studni; a nawet to, że gdy zdjął rękawiczki, wysiadł z samochodu i zbliżył się do furtki, gdy ją otworzył i wszedł na ścieżkę przy ogródku kwiatowym, nie ujrzał ani matki, ani szwagra i siostry.

Dopiero może to, że gdy był na tej ścieżce, drzwi się otworzyły i z domu wyszedł sam szwagier; ale nawet pojawienie się samego szwagra nie mogło dać niezbitego dowodu, że stało się coś niedobrego.

Dowód może dać dopiero słowo i szwagier wnet je wypowie; ale jeszcze milczy, jeszcze można mieć nadzieję, że nic złego się w tym domu nie stało.

Ale już otwierają się mięsiste usta szwagra i on mówi — mama zasłabła...

Leżała na wznak w dużym drewnianym łóżku pod wzdętą pierzyną i patrzyła w górę; ale gdy syn wszedł do izby, ułożyła twarz ukośnie, żeby go zobaczyć.

Coś się dzieje, wszystko rozgrywa się inaczej niż przedtem; przez tyle lat nawykło się do czegoś innego, a teraz przyszły nowe rzeczy — ta matka w łóżku w biały dzień przed samym południem i jego siostra przy jej łóżku w biały dzień; i jego szwagier przy tym łóżku w biały, pogodny dzień, i trzy sąsiadki, które tyle roboty mają na podwórzu i w polu, też stoją przy tym dużym, drewnianym łóżku o przedpołudniowej godzinie; chyba zupełnie innym, nie znanym dotąd torem przebiegnie wizyta.

A więc on jest już w izbie, podchodzi do leżącej w łóżku matki, pochyla się nad nią, unosi jej rękę, całuje i pyta się — jak się czujesz, mamo...

A gdy ona nie odpowiada, pochyla się jeszcze głębiej, przyklęka na jedno kolano i wpatruje się w nią.

Wtedy ona cicho, ale stanowczo — wstań...

Dlaczego nie powiedziała — wstań, synu — tylko samo: wstań...

No to on podnosi się z tego półklęczenia i robi krok do tyłu, ale od łóżka się nie oddala, lecz stoi przy nim i patrzy na bladą, wąską twarz matki, a ona wpatruje się uważnie w postać syna.

Cisza zapanowała w izbie — długa i nieznośna, szwagier patrzył przez okno, siostra udawała, że poprawia obrus, sąsiadki przysunęły się do siebie i poruszały miarowo głowami...

Matka w tym czasie wydzierała swoją prawą dłoń spod pierzyny i zadręczała swoje prawe ramię, aby się ugięło; a potem je zamęczała, aby się wyprostowało; i zadręczała palec wskazujący, aby się wyprostował; i jeszcze go zamęczała, aby ten palec, podobny do suchego patyka, wyraźnie wskazał syna, aby nie było wątpliwości, że chodzi o tego wystrojonego pana.

A gdy się już uporała z dłonią, ramieniem i palcem i gdy już nabrała pewności, że pokazuje syna, zachichotała cicho i on od razu pojął, że się śmieje z niego.

A potem zachichotała głośniej, celując wciąż palcem w pierś tego strojnisia; a to sprawiło, że siostra, która przestała poprawiać obrus, szwagier, który odwrócił głowę od okna, sąsiadki, które zwróciły się w stronę łóżka, także rozchylili usta w uśmiechu, choć przecież w takiej chwili nie powinni.

On wtedy wyszarpał z tej prawidłowo po lewej stronie ubrania wyciętej kieszonki tę błękitną w białe paski chusteczkę, burzącą się na jasnopopielatym tle niby rozkwitły kwiat, i schował ją w kieszeni dolnej, jakby mu kto nagle podszepnął, że takie chusteczki wyszły z mowy i już ich nie wkładają do kieszonek wytworni mężczyźni, podążający krok w krok z duchem czasu.

Matka znów się zaśmiała, a on zdarł ze swojej szyi ten bordo-niebieski krawat, w który wpięta była złota spinka, zmiął go jak chustkę i ukrył w kieszeni spodni, tak jakby nagle zrobiło mu się gorąco albo doszedł do wniosku, że krawaty o takich wzorach i formach należą już do przeszłości i nie przystoją eleganckiemu mężczyźnie.

Wtedy jedna z tych sąsiadek podeszła do łóżka, pochyliła się nad twarzą chorej i rzekła — ona umiera...

W izbie powstał ruch, siostra rzuciła się do szafy, wysunęła dużą szufladę i wyjęła z niej grom-nicę, a dwie pozostałe sąsiadki zbliżyły się do łóżka i, podobnie jak ta pierwsza, pochyliły nad twarzą chorej; a potem wszystkie trzy naraz wyprostowały się i niemal równocześnie zawołały — ona umarła...

A on zamiast podejść do umarłej matki, ucałować ją w czoło i normalnie podumać nad jej i nad swoim losem osieroconego syna, i normalnie, spokojnie zapłakać, jak przystało na poważnego człowieka na kierownicym stanowisku, zamiast tego począł niby zacietrzewiony, uparty chłopiec szarpać wyłogi swojej marynarki i rozpinać koszulę, jakby chciał zedrzeć z siebie to, w co się ubrał na wizytę.

Fot. CAF — ST. MOMOT

Teresa Zgliczyńska

Choroby serca coraz mniej groźne

Mimo, że w statystykach światowych wśród przyczyn zgonów choroby krążenia ciągle zajmują jedno z pierwszych miejsc, to jednak wyniki badań naukowych, jak również osiągnięcia w zakresie leczenia tych chorób pozwalają stwierdzić, że stają się one coraz mniej groźne.

Czy choroby serca są dziedziczne?

Prześledzenie historii stanu zdrowia przodków danego człowieka może stanowić najlepszą wskazówkę, czy umrze on z powodu choroby serca przed osiągnięciem wieku starczego. Oto wniosek wynikający z wszechstronnych, obejmujących 6 pokoleń, studiów przeprowadzonych na rodzinach amerykańskich ze stanu Utah. Prowadzący te badania pracownicy University of Utah Medical Center z Salt Lake stwierdzili, że istnieją pewne wyraźne predyspozycje do przedwczesnych zgonów na choroby serca u niektórych rodzin, przy czym ta podatność jest przekazywana z pokolenia na pokolenie osobnikom tej samej płci, z matki na córkę, z ojca na syna.

Eksperci podkreślają jednak, że ta rodzinna skłonność wzrasta w związku z działaniem innych czynników szkodliwych w przypadku chorób serca, takich jak np. palenie papierosów, otyłość, brak gimnastyki, ruchu, itp.

Wirusy a choroby serca

Badania wykazały, że pospolity wirus wywołujący półpasiec, przeziębienie i inne infekcje powoduje stwardnienie

(DALSZY CIĄG NA STR. 12)

Janusz Hańderek

ZABORCZOŚĆ

Telefon zadźwięczał nad ranem. Dyspozytor Pogotowia Ratunkowego w Nowym Targu podniósł słuchawkę. Wzywano lekarskiej pomocy. Zdenerwowany mężczyzna tłumaczył, że na osiedlu im. Zawadzkiego doszło do tragedii. W jednym z mieszkań leży — jak to określił informator — „przebita dziewczyna".

Na miejsce zdarzenia skierowany został zespół wypadkowy. Lekarza i towarzyszącego mu sanitariusza zaprowadzono do lokalu, zajmowanego przez rodzinę Gustabów. Lekarz podbiegł do wersalki. Leżała na niej młoda kobieta.

Stan Małgorzaty T. był beznadziejny. Lekarz stwierdził agonię, a zaraz potem zgon. Już pobieżne oględziny ciała kobiety pozwalały odkryć przyczynę śmierci. Pod lewą łopatką Małgorzaty T. znajdowała się rana kłuta — rana powodowana zwykle ciosem noża.

Na osiedlu im. Zawadzkiego lekarz pogotowia nie miał już nic do roboty. Teraz przychodziła kolej na milicjantów i prokuratora. O śmierci Małgorzaty T. drogą radiową zawiadomiono więc Komendę Miejską MO w Nowym Targu.

W tej opowieści musimy cofnąć się w czasie. Dokładnie do stycznia 1979 roku, kiedy to Małgorzata T. poznała 25-letniego wówczas Wacława Gustaba. Poznała, nie przypuszczając początkowo, że ta luźna, zupełnie nie zobowiązująca znajomość przerodzi się w związek o wiele bardziej trwały...

Sporadyczne kontakty z każdym upływającym miesiącem stawały się coraz częstsze, coraz bardziej zażyłe. Po jakimś czasie tych dwoje uważano już za sympatyzującą ze sobą parę. Oni zaś zapewniali się o łączącej ich miłości, snuli plany na wspólną szczęśliwą przyszłość. Ale nawet wtedy, w tym sielsko-romantycznym okresie, znajomość nie była pozbawiona nieporozumień, a także groźnych burz.

Ludzie bliscy Małgorzacie T. twierdzą teraz, że Wacław Gustab należy do mężczyzn zaborczych, władczych i niebezpiecznych. Swoją partnerkę próbował sobie całkowicie podporządkować, wymagał od niej bezwzględnego posłuszeństwa. Gdy próbowała się buntować, wybuchały awantury. Nie ograniczały się one jedynie do słownych utarczek. Gdy nie wystarczyły ostre i brutalne w treści słowa, padały ciosy.

Po tych ciosach zostawały ślady. Siniaki na twarzy, siniaki na plecach. Widziały je wielokrotnie matka i siostra zmarłej dziewczyny. Próbowały skłonić swoją bliską do zerwania znajomości z Gustabem. Tłumaczyły, że taki mężczyzna nie jest odpowiednim kandydatem na męża, że skoro bije przed ślubem, to tym bardziej bić będzie żonę.

Małgorzata T. zgadzała się z argumentacją matki i siostry, a mimo tego przecież po każdej awanturze wracała do Gustaba. Wystarczyło, że przeprosił, że powiedział jedno serdeczniejsze słowo, aby dziewczyna zapomniała o urazach, by znowu wierzyła, że między nimi wszystko dobrze się ułoży. Wróciła także i po tym liście, który — wydawało się — definitywnie skreślał Gustaba z życia Małgorzaty.

To był anonim, ale przecież jednoznaczny w treści. Jakiś „życzliwy" informator wprowadzał Małgorzatę T. w intymne szczegóły związku Wacława Gustaba z inną kobietą. List potwierdzał chyba podejrzenia dziewczyny, skoro ta zdecydowała się na ostateczną rozmowę ze swoim partnerem. Rozmowa przerodziła się w awanturę. Znowu były ostre słowa, znowu były epitety. I jak do tej pory, tak i teraz były w końcu przeprosiny i była budująca zgoda. Nie trwała ona jednak długo. Przyszedł bowiem w końcu ten tragiczny dzień, który wszystko definitywnie rozwiązał.

*

To było towarzyskie spotkanie. Kilka narzeczeńskich par, paru przyjaciół. Trochę alkoholu. Nie za dużo, nie za mało, nastrój radosny, beztroski.

Wrócili wieczorem do mieszkania Gustabów. Zastali tutaj brata Wacława Gustaba. Teraz, już we troje, mieli ochotę na alkohol, ale w mieszkaniu nie było żadnych wódczanych zapasów. Z prośbą o pomoc zwrócili się do jednego z sąsiadów. Znalazła się butelczyna.

Gdy więc tak pili tę wódkę, do drzwi zapukała Anna Ch. Mieszkała po sąsiedzku, a ponieważ tego dnia właśnie urządzała swoje imieniny, zaprosiła znajomych na trwające przyjęcie. Poszli z radością.

Ta radość nie trwała długo. Po kilku godzinach Wacław Gustab zaczął się denerwować. Nie podobało mu się zachowanie Małgorzaty. Uważał, że dziewczyna wypiła za wiele i teraz przy imieninowym stole poczyna sobie zbyt swobodnie.

Małgorzata T. nie rozumiała pretensji lubego. Nie pomna wcześniejszych doświadczeń próbowała mieć swoje zdanie o tym — co wypada mówić i czynić w trakcie wizyty u obcych ludzi. „Samodzielność" myślenia dziewczyny jeszcze bardziej rozsierdziła mężczyznę. Zaczęli się sprzeczać, a potem oboje opuścili gościnne progi sąsiedzkiego mieszkania.

Już na klatce schodowej Małgorzata T. dostała po twarzy. Potem awantura przeniosła się do mieszkania Gustabów. Tego, co tam dokładnie się działo, nie dowiemy się nigdy. Prawdopodobny przebieg zajścia odtworzyć można jedynie za pomocą dowodów pośrednich, z których rana na ciele kobiety i nóż są najważniejsze.

Po pewnym czasie Anna Ch. zauważyła w przedpokoju pozostawioną przez Małgorzatę T. białą teksasową bluzę. Postanowiła zwrócić ją właścicielce. Wraz z synem wybrała się do sąsiedniego bloku.

Słyszeli odgłosy awantury. Potem krzyki ucichły. Zastanawiali się, co robić. W końcu Tadeusz Ch. zdecydował się na zapukanie do drzwi Gustabów. Z teksasową bluzą wszedł do mieszkania. Zobaczył leżącą na wersalce zakrwawioną Małgorzatę. Obok stał Wacław Gustab.

Tadeusz Ch. zachował się przytomnie. Wiedział, że obok, w kawiarni „Krokus", odbywa się przyjęcie weselne. Mimo późnej, nocnej pory, lokal był więc czynny. Skorzystano ze znajdującego się w kawiarni telefonu. Ale lekarska interwencja nie mogła już niczego zmienić...

*

Wacław Gustab został zatrzymany. Już w trakcie pierwszego przesłuchania stwierdził, że z zabójstwem Małgorzaty T. nie miał nic wspólnego. Tak, awanturował się z Małgorzatą, miał jej za złe zachowanie u Anny Ch. i właśnie dlatego nie wrócił razem z dziewczyną do mieszkania. Ona poszła sama do bloku, a on poszedł na krótki spacer, aby trochę ochłonąć, by uspokoić nerwy. Kiedy w końcu wrócił do mieszkania, zobaczył leżącą na wersalce dziewczynę. Krwawiła, była nieprzytomna.

W tę wersję podejrzanego nikt nie uwierzył. Nie uwierzył nie tylko dlatego, że była więcej niż fantastyczna, ale głównie z tego powodu, że przeczyły jej zgromadzone już w początkowym stadium śledztwa dowody. Po pewnym czasie więc Wacław Gustab zmodyfikował swoją wersję wydarzeń.

A więc wszystko było tak: to prawda, wrócił do mieszkania wspólnie z Małgorzatą T. awanturowali się. W pewnym momencie coś go opętało. Dość miał już tych starć, tych nieporozumień, więc chwycił leżący na stole nóż i skierował jego ostrze w kierunku swojego ciała. Po co to zrobił? Może w tym celu, by się samookaleczyć, może w celu popełnienia samobójstwa. Widząc nóż i jednoznaczne zamiary mężczyzny Małgorzata rzuciła się na Wacława. Zaczęli się szamotać. W trakcie tej szamotaniny stracił równowagę i upadł na wersalkę. Bezwiednie pociągnął za sobą dziewczynę. Na tapczan spadli razem, a ten upadek był dla Małgorzaty tragiczny. — Nabiła się na trzymany przeze mnie nóż — stwierdził Wacław Gustab.

Przesłuchujący lojalnie wyjaśnili podejrzanemu, że i ta wersja dramatu nie trzyma się przysłowiowej kupy. Nie trzyma się zaś dlatego, że wykluczają ją wyniki przeprowadzonych ekspertyz. Miejsce, w którym ostrze noża ugodziło ciało dziewczyny, głębokość rany i tym podobne świadczą o zupełnie innym przebiegu tragicznego zdarzenia.

Wacław Gustab jeszcze raz wszystko sobie przeanalizował i jeszcze raz zmienił złożone wcześniej wyjaśnienia.

Z tym nożem więc to był zupełny przypadek. Gdy się kłócili, to on nożem jedynie wymachiwał, zataczał nim łuki. Teraz nie może powiedzieć, dlaczego tak robił, ale jest faktem, że Małgorzata T. przypadkowo znalazła się w zasięgu ostrza i została nim ugodzona w plecy po prostu, pod łopatkę.

Niestety na nieszczęście Wacława Gustaba i w tę opowieść nie mógł nikt uwierzyć, biegli twardo stali na swoim stanowisku, z którego wynikało, że uderzenie nożem nie mogło być spowodowane przez nieszczęśliwy i nie zamierzony splot okoliczności.

*

Sprawa Wacława Gustaba znajduje się już na wokandzie Sądu Wojewódzkiego w Nowym Sączu. Zanim jednak prokurator skierował tutaj akt oskarżenia, jeszcze raz dokładnie przeanalizowano przeszłość podejrzanego. Okazało się, że Wacław Gustab był już dwukrotnie karany za popełnienie czynów o charakterze chuligańskim, nasyconych wyjątkową agresywnością. Mimo orzeczonych kar nie zmienił swojego postępowania, dalej prowadził pasożytniczy tryb życia, znany był z nadużywania alkoholu.

Wacław Gustab został skierowany na obserwację sądowo-psychiatryczną. Biegli po licznych badaniach swojego pacjenta, przeprowadzonych wywiadach i testach stwierdzili jednoznacznie, że podejrzany o zadanie śmiertelnej rany Małgorzacie T. *„...jest psychopatą dysponującym inteligencją mieszczącą się w granicach normy (...) mającym w chwili popełnienia zarzucanego mu czynu ograniczoną, ale w stopniu nieznacznym, zdolność rozpoznania znaczenia czynu i pokierowania swoim postępowaniem"*. Opinia biegłych lekarzy praktycznie biorąc sprowadza się do przekonania, że Wacław Gustab w pełni może odpowiadać za zarzucany mu aktem oskarżenia czyn.

Śledztwo i ekspertyzy biegłych nie odpowiedziały, bo i odpowiedzieć nie mogły, na wszystkie rodzące się pytania. Nikt więc nie wie, dlaczego Małgorzata T., mimo wcześniejszych przykrych doświadczeń nie zdecydowała się na ostateczne zerwanie z agresywnym mężczyzną, nikt nie wie także, czy Wacław Gustab mógł jednocześnie tak bardzo kochać i tak bardzo nienawidzić, że gotów był na działania krańcowo drastyczne i niebezpieczne. Mówi, że nie chciał zabić — faktem jest jednak, że Małgorzata T. nie ż[illegible]

Choroby serca coraz mniej groźne

(DALSZY CIĄG ZE STR. 11)

tetnic, co prowadzi do poważnych chorób układu krążenia.

Eksperymenty przeprowadzone w New Hospital-Cornell Medical Center w Nowym Jorku wykazały, że kurczaki zakażone wirusem opryszczki zapadają na chorobę mającą objawy bardzo podobne do objawów miażdżycy tętnic u człowieka. Dowodzi to, że przy rozpatrywaniu przyczyn chorób serca należy także uwzględniać ich pochodzenie wirusowe.

Rola płuc

Stwierdzono, że płuca uważane dawniej jedynie za narząd oddechowy organizmu, pełnią także istotną funkcję w chorobach serca ze względu na regulację ciśnienia krwi. Daje to możliwość nowego podejścia do zagadnienia kontrolowania nadciśnienia przez użycie leków.

Badania prowadzone pod kierunkiem dr S. Alexandra Stalcupa z Columbia University College of Physicians and Surgeons w Nowym Jorku wykazały nieznane dotychczas działanie płuc polegające na przetwarzaniu enzymów na dwa zasadnicze peptydy, z których jeden wpływa na wzrost ciśnienia, a drugi na jego obniżenie. Obecnie trwają prace nad lekiem, który ma blokować wytwarzanie peptydu powodującego wzrost ciśnienia.

Operacja serca u noworodków

Operacje serca przeprowadzane szczególnie we wczesnym okresie życia dają w wielu wypadkach dobre rokowanie i stanowią ogromny postęp w leczeniu chorób serca. Do niedawna w przypadku poważnych wad wymagających leczenia operacyjnego, czekano aż dziecko przekroczy 2 rok życia. Ostatnio pogląd na tę kwestię uległ zmianie. Zdaniem dr Paula A. Eberta z San Francisco, lepiej jest operować zbyt wcześnie niż zbyt późno, ponieważ w większości wypadków z czasem stan zdrowia ulega pogorszeniu. W ciągu ostatnich 5 lat w San Francisco liczba operacji przeprowadzonych u noworodków w okresie pierwszych 6 miesięcy życia wzrosła 10-krotnie. Znacznie zmalała śmiertelność dzieci z tymi schorzeniami, a obserwacje wykazały, że gdyby nie przeprowadzono operacji, 75 proc. spośród dzieci zmarłoby w okresie jednego roku.

Leki wpływające na zmianę stanów psychicznych a choroby serca

Leki powszechnie stosowane do leczenia stanów depresyjnych wydają się być skutecznymi środkami działającymi gdy dochodzi do zaburzeń czynności pracy serca, niewydolności krążenia i przypadków nagłych zgonów. Badania prowadzone przez dr Biggera z Uniwersytetu Columbia wykazały, że niektórzy pacjenci, nie uskarżający się na stany depresyjne, byli skutecznie leczeni dzięki stosowaniu środka antydepresyjnego-impiramina i nie stwierdzono u nich żadnych skutków ubocznych tej kuracji. Podkreśla się jednocześnie, że większość leków stosowanych przeciwko zaburzeniom czynności pracy serca powoduje skutki uboczne takie jak mdłości, biegunki itp., co niejednokrotnie zmusza pacjentów do zaprzestania ich zażywania.

Rehabilitacja

Ponieważ choroby serca należą do bardzo rozpowszechnionych, zatem proces rehabilitacji stanowi poważne zagadnienie.

Studia przeprowadzone w USA wykazały, że istnieje kilka grup pacjentów, którzy źle przystosowują się do nowej sytuacji życiowej. Należy zaliczyć do nich tych, którzy w związku z przebytą chorobą muszą porzucić wykonywaną pracę, a także ludzi ambitnych, energicznych i przedsiębiorczych.

Stwierdzono, że najlepsze szanse powrotu do zdrowia mają ci pacjenci, którzy odrzucają lub ignorują wszelkie napięcia i lęki w tym trudnym okresie życia.

Zauważono także, że proces przystosowania się do nowych warunków u kobiet przebiega trudniej niż u mężczyzn.

Ogromne osiągnięcia w zakresie leczenia chorób serca pozwalają żywić nadzieję, że będą one coraz mniej groźne

Fot. STANISŁAW ŚMIERCIAK

Andrzej Jazowski

List z Orawy

Ratujmy skansen!

Przy szosie Śląsk—Zakopane, przebiegającej przez przełęcz Krowiarki, w przepięknym krajobrazie u stóp Babiej Góry znajduje się zespół starych budynków drewnianych, a wśród nich dworek Moniaków; obecnie jest tam Orawski Park Etnograficzny w Zubrzycy Górnej.

Historia dworu Moniaków łączy się ściśle z dziejami Górnej Orawy, gdzie główne nasilenie kolonizacji przypadło dopiero na wiek XVI. Już w połowie następnego stulecia doszło tu do ostrych i długotrwałych walk religijnych. Wojny z luteranami, wspieranymi przez panów Orawskiego Zamku, Thurzonów, prowadzili sołtysi: Maciej Moniak z Zubrzycy Górnej, Jan Wilczek z Podwilka i Jan Bukowiński z Bukowiny Orawskiej. Zorganizowali oni oddział zbrojny, jak na owe czasy zadziwiająco duży, bo liczący aż 700 ludzi. Za zasługi położone w walce z innowiercami cesarz austriacki nobilitował wyżej wymienionych sołtysów w 1672 roku.

Z połowy XVII wieku pochodzi również pierwszy kościół katolicki — drewniany kościółek w Orawce, jeden z najcenniejszych zabytków sakralnych w Polsce — licznie odwiedzany przez turystów. Tuż obok zachował się drugi zabytek — stara farbiarnia ze słonecznym zegarem.

Z posiadłości nobilitowanych sołtysów do dnia dzisiejszego przetrwał tylko dworek Moniaków. Ostatni właściciele Dworu, inż. Sander Lattyak i Joanna Wilczkowa, ofiarowali w roku 1937 swoją posiadłość Państwu Polskiemu, pisząc: *Życzeniem naszym jest zabezpieczenie dla przyszłości starodawnego charakteru tego osiedla dworskiego w formie muzeum, w którym znalazłyby pomieszczenie również ruchomości należące do rodziny, z historią dworu i tej ziemi związane.*

W roku 1953 przystąpiono do odrestaurowania niszczejącej zagrody Moniaków i, zgodnie z życzeniem jej ostatnich właścicieli, zaczęto organizować w niej pierwsze na Ziemi Krakowskiej muzeum skansenowskie. Na teren ośrodka przenoszono stopniowo inne cenne obiekty budownictwa orawskiego, mające reprezentować wieś orawską w ciągu stuleci, w różnych przekrojach społecznych — przy czym ukazywano te zabytkowe domostwa w oprawie zieleni, wykorzystując do tego celu istniejący stary drzewostan.

W połowie lat osiemdziesiątych okazało się jednak, że ta idea ma szereg wad. Spory areał gruntów wokół dworu został szybko zabudowany, a w terenie pozostawało jeszcze wiele eksponatów, które aż się prosiły o przeniesienie do Muzeum. Ponadto znawcy orawskiej kultury materialnej zaczęli wytykać opiekunom Parku, że jego kompozycja nie jest typowa dla urbanistyki orawskiej. Miejscowe wioski, co nie trudno dostrzec, mają bowiem zabudowę nowszą, „łańcuchową" wzdłuż potoku i drogi, lub starszą „kępową" na pagórkach. usianych także wzdłuż głównego potoku.

Wówczas to — nie bez inspiracji piszącego te słowa — zrodziła się myśl budowy chociażby fragmentu łańcuchówki. Miano tu w pierwszej kolejności przenieść m. in. starą szkołę ze Skoczyków w Lipnicy Wielkiej. W tym celu ówczesna dyrektorka Muzeum, dr Wanda Jostowa, podjęła starania o wykupienie chałupy od Misinca oraz bezpośrednio przylegającej do Parku ziemi Skarbu Państwa. Zabiegała też o sprowadzenie na teren Muzeum wody pod własnym ciśnieniem — aby założyć sięgą sieć hydrantów przeciwpożarowych.

Plany były piękne — napawały nadzieją.

Niestety, wszystko prysnęło jak bańka mydlana, gdy nastąpiła zmiana podziału administracyjnego kraju. Zgodnie z ogólną tendencją łączenia mniejszych jednostek administracyjnych postanowiono skansen orawski — dotychczas samodzielną, autonomiczną jednostkę — uczynić filią Muzeum Tatrzańskiego. Dyrektor W. Jostowa przeszła na emeryturę; w ślad za nią poszedł także Andrzej Pilch, zasłużony działacz, znawca wsi orawskiej i wielki miłośnik kultury tego regionu. Pozostali zaś pracownicy, niepewni jutra, żyli w zrozumiałym niepokoju. Rozpadła się także Rada Muzeum, która — jak mnie ostatnio poinformowano — już od dwóch lat nie miała posiedzenia.

W skansenie Górnej Orawy dzieje się teraz nie najlepiej. Normalne i pożądane funkcjonowanie tej niezwykle ważnej w życiu Orawy placówki paraliżuje tymczasowość: od co najmniej czterech lat mówi się o przejęciu Parku przez Muzeum Tatrzańskie.

Dziś Park jest jednostką samodzielną, zdawałoby się, że nic nie powinno stać na przeszkodzie jego normalnemu rozwojowi i funkcjonowaniu, ale tak się tylko wydaje. Skreślono znaczną część budżetu, bo nie miał kto przedstawić szczegółowego i perspektywicznego planu rozwoju placówki. Jeszcze za dyrektorstwa dr W. Jostowej obsada naukowa Muzeum była słaba, a dzisiaj... pracuje tu jedna etnografka, mgr Jadwiga Pilch, której przed rokiem przydzielono do pomocy inżyniera wiertnika. Pełniący funkcję dyrektora Teodor Pawlak ma wykształcenie półwyższe nauczycielskie.

Mimo to Muzeum podejmuje bardzo dużo pożytecznych akcji. Tu odbywają się różne imprezy, jak Święto Pasterskie, Orawska Jesień, posiedzenia Orawskiego Klubu Pisarzy. Organizowane są też różnego typu konkursy i wystawy.

— *Robimy, co możemy i na co nas stać* — mówi Teodor Pawlak — *ale serce boli, kiedy niszczeją cenne zabytki starej kultury, a my na to nie możemy nic poradzić. Nie jest to zresztą bolączką jedynie naszego skansenu — sytuacja niemal wszystkich muzeów skansenowskich w kraju nie jest należycie i jednoznacznie uregulowana.*

Przede wszystkim trzeba skończyć z tymczasowością. Orawski Park Etnograficzny w Zubrzycy Górnej, nawet w obecnym stanie, to poważna instytucja i poważny majątek. Trzeba też wreszcie mianować dyrektora z odpowiednimi kwalifikacjami, najlepiej Orawianina.

Na temat Orawskiego Parku Etnograficznego w Zubrzycy Górnej rozmawiałem nie tylko z jego pracownikami, lecz także z licznymi działaczami orawskimi. Wszyscy są zdania, że obecny stan budzi niepokój i rozgoryczenie.

I nie ma się co dziwić. Z każdym rokiem zmniejsza się ilość zabytkowych budowli, których nikt nie zarejestrował i o których się rychło zapomina, jak zapomniano np. o chałupie w Lipnicy Wielkiej, zbudowanej jeszcze na czterech pniach. Giną też eksponaty mniejszych rozmiarów, wędrują w świat świątki i zabytkowe sprzęty. I tak np. w Lipnicy Wielkiej zginęła z kapliczki obok starego młyna rzeźba świętego Jana, a z dzwonnicy w Murowanicy (osiedle tej samej wsi) rzeźba św. Floriana; miejscowi chłopi poszukują ich bezskutecznie od kilku lat. Umierają także naturalną śmiercią ludowe wierzenia, obyczaje i obrzędy.

Wiele z tych rzeczy można by zachować dla potomnych, gdyby się Orawskiemu Parkowi Etnograficznemu przywróciło szybko odpowiednią rangę i dało merytorycznie przygotowaną kadrę. Reaktywowanie Rady Muzealnej pomogłoby dyrekcji nie tylko w konstruowaniu właściwych planów i zadań, ale i w zbieraniu i zabezpieczaniu eksponatów w terenie. A kto wie, czy nie udałoby się, jak sugerują niektórzy miejscowi działacze, rozwinąć społecznej akcji na rzecz budowy np. budynku ogniotrwałego, w którym znalazłyby pomieszczenie najcenniejsze eksponaty i zbiory.

Trzeba więc, żeby się odpowiednie władze zastanowiły poważnie nad sytuacją i przyszłością skansenu Górnej Orawy i podjęły w tej sprawie właściwe decyzje. Przede wszystkim zaś należałoby odpowiedzieć na pytanie, czy Muzeum Tatrzańskie, przy swych ogromnych planach na całym Podhalu i Spiszu, jest w stanie poprowadzić właściwie jeszcze i skansen orawski? Zaś w razie pozostawienia Parkowi autonomii — wskazane byłoby zorganizowanie otwartego konkursu na stanowisko dyrektora.

Dobre chęci i zapewnienia nie zdadzą się na nic — tu potrzebna jest konkretna, z prawdziwego zdarzenia, działalność, i to od zaraz.

OD REDAKCJI: Sądzimy, że sprawa ta wymaga natychmiastowego uregulowania, bez względu na to, jaki e rozwiązanie zostanie przyjęte.

Jeśli utrzymana zostanie autonomia skansenu — niezbędne jest zapewnienie mu pełnej obsady kadrowej, a pracownikom — należytych warunków pracy.

Jeśli pełna autonomia skansenu nie jest możliwa, należy chyba wypracować taki model jego podległości Muzeum Tatrzańskiemu, który nie odbierałby kierownictwu skansenu samodzielności w codziennych działaniach. Może odpowiednie władze zechcą się w tej sprawie wypowiedzieć?

WIELKIE I MAŁE

Autobus trząsł, zarzucał na zakrętach, więc zwaliła się ciężko na ławkę, niemal siadając mi na kolana. Poprawiła się, rozejrzała.

— O, *dzień dobry!* — zaszczebiotała radośnie ku mojej sąsiadce.

— *...ndobry! Co słychać?*

No i dowiedziałam się co słychać:

Że pani Basia była na wycieczce w Słowacji, skąd przywiozła sobie śliczne buty, trzy pary. *„Jedne włożyła na nogi sama drugie, chi, chi, kazała włożyć córce, śmiesznie ta mała wyglądała, bo były ze trzy numery za duże, trzecie po prostu miała w torbie. Jakoś nie sprawdziły".*

— Że *„niech się pani nie martwi, przyniosę pani z pracy trochę papieru"*.

— Że *„moja córka to sprytna dziewczyna. Mądra. Tak, chodzi do technikum. I trenuje w klubie, a tam, wie pani, dają na dożywianie. Nie pieniądze, ale jak weźmie za miesiąc trzydzieści czekolad, to sobie uskłada na bluzkę czy spodnie".*

Pomyślałam najpierw: kochająca mamusia cieszy się, że dziecko nie wzmacnia przeciążonego organizmu.

A potem, gdy opowieści o sprytnych i zaradnych ciągnęły się w nieskończoność (PKS Zakopane—Nowy Sącz jedzie trzy godziny!), a ja — chcąc nie chcąc — musiałam ich wysłuchiwać, zaczęłam zastanawiać się nad tym, gdzie się podziała zwykła ludzka uczciwość i — zwykły ludzki wstyd?

Papier maszynowy, dodatek na dożywianie, śrubka „potrzebna w domu", rozważania o tym, co „idzie" za granicą i co za to można przywieźć do kraju — codzienne, zwyczajne rozmowy. Publiczne. Jawne. Nie żadne wielkie sprawy: „wille, sauny, jachty, dolary, nie żadne „Hortexy" czy „Minexy" afery, których trzeba się wstydzić (*„Pani, co za złodziej! Tyle nakradł!"*). a po prostu zaradność pani Basi z WSS, pana Janka z warsztatów, panny Jadzi z urzędu.

Kiedyś — jak mawiają starzy ludzie, choć nie bardzo im wierzę — defraudant strzelał sobie w łeb, złodziej przyłapany na gorącym uczynku spuszczał ze wstydem głowę, a nie przyłapany — milczał o swym złodziejstwie. Dziś wielki aferzysta jest często „biedny, bo tak głupio wpadł", a reszta... cóż, reszta chodzi w chwale życiowego sprytu i mądrości. Do czasu, mam nadzieję.

(elg.)

PROSZĘ GŁOS

Nasze sadownictwo

Powierzchnia sadów i plantacji jagodowych wynosząca w naszym województwie ponad 9 tysięcy hektarów, tj. niespełna 5 proc. gruntów ornych, daje nam trzecie miejsce w kraju pod względem wykorzystania ziemi na cele sadownicze. Lepsze wskaźniki mają jedynie województwa radomskie i stołeczne warszawskie, będące tradycyjnymi potęgami ogrodniczymi.

Trzeba podkreślić, że znaleźliśmy się w ścisłej krajowej czołówce sadowniczej mimo bardzo trudnych warunków agroklimatycznych. Wszak według opracowanego przez Instytut Uprawy, Nawożenia i Gleboznawstwa w Puławach nowego syntetycznego wskaźnika bonitacji warunków produkcji rolniczej, uwzględniającego takie czynniki jak urodzajność gleby, agroklimat, rzeźba terenu i urządzenia nawadniające — województwo nowosądeckie ma najtrudniejsze warunki w kraju. A jednak produkcja sadownicza rozwija się u nas, w kilku zwłaszcza gminach; dobrze wykorzystuje się rzeźbę terenu, łagodne wzniesienia, stoki i zbocza o najlepszym nasłonecznieniu.

Stale wzrastające zapotrzebowanie na owoce wymaga intensyfikacji tej produkcji. Należy też podkreślić, że pomimo trudnych warunków naturalnych produkcja sadownicza jest dla naszych producentów najbardziej opłacalna. Wystarczy podać, iż produkcja ta w stosunku do zajmowanej powierzchni gruntów rolnych jest wartościowo dwukrotnie wyższa od globalnej produkcji rolnej i czterokrotnie wyższa od produkcji towarowej. A zatem zasady efektywności gospodarowania wyraźnie preferują ten kierunek rozwoju rolnictwa naszego regionu. Dla jeszcze bardziej dobitnego potwierdzenia tego argumentu zacytuję wypowiedź wybitnego uczonego prof. dra Szczepana Pieniążka, który na zarzut, że mamy mało ziemi uprawnej i musimy rozwijać produkcję zboża, tak odpowiedział: *Za maliny z jednego hektara można kupić na rynku międzynarodowym pszenicę z 20 hektarów. W Republice Federalnej Niemiec za 1 kg świeżych malin kupuje się 1 kg „Mercedesa". Czyli dlatego właśnie, że mamy za mało ziemi, powinniśmy produkować to, co można korzystnie wymienić.*

Dalsze możliwości zwiększenia wysokotowarowej produkcji kryją się w rekonstrukcji naszego sadownictwa, gdyż stosunkowo dużą — niestety — powierzchnię zajmują tak zwane nieużytki sadownicze. Są to wysokopienne stare drzewa odmian niskiej jakości owoców, nie owocujące, bądź też przynoszące minimalny plon. Najwięcej takich nie owocujących sadów jabłoniowych i śliwkowych mamy na terenie gmin „sadowniczych", a więc Jodłownika, Korzennej, Laskowej, Limanowej, Łącka, Łososiny Dolnej, Łukowicy, Podegrodzia i Starego Sącza.

Już od kilku lat karczowaniem nieużytków sadowniczych zajmuje się Wojewódzka Spółdzielnia Ogrodniczo-Pszczelarska w Nowym Sączu oraz — w mniejszym zakresie — niektóre spółdzielnie kółek rolniczych. Rekonstrukcja sadownictwa objęta jest planem społeczno-gospodarczym województwa. Właścicielom sadów udziela się daleko idącej pomocy i koszty karczowania — w ramach rekultywacji gruntów rolnych — pokrywa budżet województwa. Właścicielom sadów pozostaje jedynie usunięcie wyrwanych i pociętych starych drzew oraz — co równie ważne — dokonanie nowych nasadzeń.

Do najważniejszych trudności przy rekultywacji sadów należy brak odpowiedniego sprzętu, to jest ciężkich ciągników gąsienicowych, a szczególnie pił mechanicznych. Są one produkowane jedynie w zakładach podległych leśnictwu.

Tymczasem prace rekultywacyjne trzeba nasilić dla przyspieszenia dalszego rozwoju nowoczesnego sadownictwa, nastawionego na masową produkcję towarów owoców wysokiej jakości. Służba rolna i ogrodnicza musi przełamywać istniejące jeszcze tu i ówdzie opory niektórych właścicieli zbytnio przywiązanych do starych, nierentownych i zaniedbanych sadów.

Późna jesień i — miejmy nadzieję — niezbyt ostra zima jest okresem najbardziej sprzyjającym karczowaniu starych sadów.

ZYGMUNT BŁASZAK

Takie oto obrazki regularnie powtarzają się na każdym nowym osiedlu mieszkaniowym. Rozkopane dojścia do domów, sterty kamienia i gruzu, których nie ma kto usunąć. To zdjęcie, zrobione kilkanaście dni temu — już straciło aktualność, bowiem teren uporządkowano, kiedy poszła uwieść, iż po rumowisku „grasuje" fotoreporter. Więc jednak można?

Fot. ST. ŚMIERCIAK

Sprawy naszych Czytelników

Droga pełna wybojów

Jan B., mieszkaniec Dzianisza, który napisał obszerny list do redakcji, nie bardzo już wierzy, iż ktoś potrafi popędzić biurokratyczną machinę, w tryby której dostała się jego sprawa. List do „Dunajca", napisany ręką starego człowieka, kończy się słowami: *„Jeśli by zaś moje pismo miało iść do kosza..."* Nie dziwmy się rozgoryczeniu i zwątpieniu: sprawa, którą nam przedstawia, obchodzi właśnie swe dziesięciolecie.

Chodzi o zwykłą, wiejską drogę w Dzianiszu, istniejącą od wieków, a służącą obecnie ponad 20 gospodarstwom. O to, by powstrzymać innych ludzi, których samowola budowlana spowodować może, iż droga zamieni się w ścieżkę zgoła, którą nijak będzie zwieźć plonów z pola do stodoły. Chodzi wreszcie o to, by kompetentni urzędnicy budowlanego nadzoru wzięli się rzetelnie za sprawę, miast uprawiać papierowy ping-pong...

Zaczęło się wszystko w roku 1970, kiedy to właściciel gospodarstwa, leżącego przy rzeczonej drodze właśnie, Józef G. zwrócił się do kompetentnego urzędu w powiatowym podówczas Nowym Targu o zezwolenie na przebudowę swojego domu. Zgodę taką niebawem otrzymał i rychło przystąpił do pracy — tyle tylko, że z nową budowlą przesunął się o metr w kierunku drogi. Zaniepokojeni sąsiedzi jęli protestować; spór zakończono podówczas umową, która zabezpieczała swobodny drogą przejazd i na czas jakiś pojednała zwaśnionych.

Ale spokój ten nie trwał długo. W lutym 1975 roku Józef G. zwrócił się do Urzędu Gminy Kościelisko-Witów, tym razem z prośbą o zezwolenie na przebudowę budynku gospodarczego. Trzej kolejni naczelnicy gminy zgody takiej mu odmówili: po prostu projekt przebudowy był sprzeczny z normami prawa budowlanego. Józef G. nie ustępował jednak: kiedy Dzianisz znalazł się w obrębie Gminy Tatrzańskiej, ponownie zwrócił się do Wydziału Gospodarki Terenowej UM Zakopanego i tejże Gminy z wnioskiem o zatwierdzenie dokumentacji. 28 sierpnia 1978 roku decyzję pozytywną w końcu otrzymał, ale też była to decyzja, nakazująca wprowadzenie określonych poprawek do planu przebudowy, których celem było utrzymanie należytej szerokości drogi, służącej wszystkim przy niej mieszkającym. Józef G. wziął się dziarsko do roboty — po swojemu. Dla sąsiadów, ludzi z budowaniem obeznanych, rychło stało się jasne, że określonych w decyzji administracyjnej warunków nie dotrzymuje.

2 sierpnia 1979 Jan B., jeden z najbardziej zainteresowanych sprawą, złożył do Urzędu Miasta Zakopanego i Gminy Tatrzańskiej zażalenie na sposób prowadzenia budowy. Z Witowa, gdzie mieści się przedstawicielstwo kompetentnego organu budowlanego wysłano komisję, by sprawdziła na miejscu podnoszone zarzuty. Wizja lokalna się odbyła, zaś 27 sierpnia z Zakopanego nadeszła odpowiedź, że budowa Józefa G. prowadzona jest zgodnie z zatwierdzoną wcześniej dokumentacją. Czy komisja, przeprowadzająca wizję potraktowała sprawę po „kumotersku" — jak twierdzi Jan B., czy ustąpiła wobec faktów dokonanych, czy wreszcie kompetentny wydział UM Zakopanego i Gminy Tatrzańskiej chciał definitywnie zakończyć kłopotliwą sprawę — dociec dziś trudno.

Ale Jan B. nie ustąpił. Droga, która prowadzi do jego posesji ma już teraz na pewnym odcinku tylko 3 m szerokości, zamiast przewidzianych pięciu. 5 września zwraca się więc ponownie do zakopiańskiego Urzędu, proponując poszerzenie drogi poprzez wykup prywatnych gruntów. Mało tego — sam chce pokryć wszystkie koszty, byle droga pozostała nadal drogą.

Pismo pozostaje bez odpowiedzi. Jan B. nie rezygnuje... i zaczyna się biurokratyczna kolomyjka. 1 grudnia B. składa skargę w UM Zakopanego i Gminy Tatrzańskiej. 4 stycznia 1980 z Wydziału Planowania Przestrzennego tegoż urzędu przychodzi odpowiedź, nie uznająca racji autora skargi, a podtrzymująca stanowisko, wyrażone w piśmie z 27 sierpnia ub. roku. Korespondencja trwa: 16 stycznia w kolejnym liście do rzeczonego wydziału Jan B. podważa punkt po punkcie urzędową prawdę. Skarga — poprzez Wydział Ogólny, a następnie Biuro Organizacyjno-Prawne zakopiańskiego Urzędu wędruje 28 stycznia do Wojewódzkiego Biura Planowania Przestrzennego, Architektury i Nadzoru Budowlanego w Nowym Sączu, gdzie zapada głuche milczenie.

22 marca: B. monituje wojewódzki organ budowlany. Cisza. 15 kwietnia: kolejna prośba o odpowiedź — efekt identyczny. 26 kwietnia: Jan B. zwraca się ponownie do Urzędu w Zakopanem: niechże mu ktoś wreszcie wyjaśni, dlaczego w Nowym Sączu milczą. Odpowiedź po najmniejszej linii oporu i w ping-pongowym stylu: akta sprawy są w stolicy województwa, niechże więc czeka, aż mu władza wojewódzka odpisać raczy. Jan B. czeka.

* * *

Nie bronimy prywatnego interesu Jana B. Nie przysłowiowy spór o miedzę, a naruszenia prawa stanowią meritum sprawy. O naruszenie prawa budowlanego oskarża autor listu swojego sąsiada — rok z górą mija, jak czeka na o s t a t e c z n ą decyzję. Kodeks postępowania administracyjnego przewiduje określone terminy załatwienia sprawy — te zaś zostały naruszone zarówno przez Urząd Miasta Zakopanego i Gminy Tatrzańskiej, jak i Wojewódzkie Biuro Planowania Przestrzennego, Architektury i Nadzoru Budowlanego w Nowym Sączu.

* * *

Z OSTATNIEJ CHWILI: Po interwencji „Dunajca" w Urzędzie Wojewódzkim w Nowym Sączu otrzymaliśmy informację, że zajmujący się sprawą inż. Leszek Sus bezzwłocznie udzielił Janowi B. odpowiedzi. Lepiej późno, niż wcale... Liczymy, że redakcji również — już raz Wojewódzkie Biuro Planowania Przestrzennego, Architektury i Nadzoru Ogólnego usiłowało zbyć nas milczeniem, a odpowiedź otrzymaliśmy dopiero po interwencji u rzecznika prasowego wojewody. Zresztą do tamtej sprawy sprzed kilku miesięcy przyjdzie nam niebawem powrócić...

KRZYSZTOF DOBOSZ

CZARNY WĘGIEL

(DALSZY CIĄG ZE STR. 4)

w czwartek rano deszcz ustał. Idę drugi raz na Gorzków. Węgiel jak leżał wczoraj, tak leży. Na placu nikogo, nawet pana Frania Górowskiego, renesty dorabiającego tu sobie przy ładowaniu. Zachodzę do biura; pytam, dlaczego ludzie nie odbierają? To już przecie czwarty dzień, a trzeba wziąć do pięciu. Ale referent sprzedaży Działu Obrotu Rolnego Danuta Sikorska nie ma głowy, żeby się tym zajmować. Pierwsze tony jej rozmowy ze mną brzmią tak samo, jak głos w słuchawce ze Starego Sącza. Cóż, rutyna. Cały dzień pod ostrzałem niezadowolonych, rozgoryczonych, czasem wyprowadzonych z równowagi ludzi. Dopiero od pierwszego są tu przy sprzedaży we dwie: na staż przyszła jako pomocnik Grażyna Piksa.

Więc jak to jest z tym zawiadamianiem? Nic nie słyszały. Ale przecież informować rolników się nie da! Pani Grażyna rzuca się ku szafie i wyciąga plik kartotek z samej tylko Zawady: nie mieszczą się jej nawet w obu rękach. — Jak zawiadamiać? Kto by to pisał? Niech dzwonią przed trzecią każdego dnia, wtedy mamy awizację...

— *Proszę pani* — nie wytrzymuję — *czy pani zdaje sobie sprawę, że ta słuchawka jest pod ręką tu, ale do telefonu na drugim końcu drutu rolnik ma kilometry? I o trzeciej jest w polu przy pracy?*

— *Przecież poczta i tak nie dojdzie na czas. Może telegramami... Co ja zresztą, niech pan idzie do kierowniczki.*

A pewno, że pójdę. Pani Anna Pawlik na wstępie podsuwa mi pismo, świeżo wypieczone, z Zarządu WZSR ds. Obrotu Rolnego: proszę, 7 października wiceprezes Antoni Stelmach wydał polecenia na ten kwartał. Ani słowa o zawiadomieniach. Natomiast w punkcie trzecim widzę coś, co wyraźnie się nie zgadza z informacją dyrektora WHiU Antoniego Wierzchosławskiego, podaną nam na wspomnianym spotkaniu w Urzędzie Wojewódzkim, a mianowicie, że producenci kwiatów będą mieli dostawy węgla ograniczone do minimum, natomiast dostaną prawie wszystko ci od hodowli warzyw. Czytam: **„W produkcji ogrodniczej należności z tytułu kontraktowanych dostaw należy realizować do wysokości 55% przysługujących przydziałów. Z tytułu powierzchni należy realizować wyłącznie dla producentów kwiatów do wysokości 70% przydziałów".** No to zamiast pomidorów podjemy na śniadanie sałatki z goździków? Albo czegoś nie rozumiem, albo tak to wygląda, pomimo późniejszych zawiłych tłumaczeń wiceprezesa Stelmacha.

Ale ja tu jestem w sprawie otwarcia drogi dla węgla do rolnika. Jak? Pani Pawlik rozkłada ręce: teraz nawet kopalnie nie dają awizacji wysyłek do centrali zbytu... Transporty węgla przychodzą kompletnie nieregularnie, są bardzo różnej wielkości, jako najwyższa jakość przychodzi węgiel przerośnięty kamieniem i trudno podjąć decyzję o reklamacji, skoro dostaw tak mało; no a Spółdzielnia Transportu Wiejskiego nie przestrzega z kolei rozdzielnika, nigdy nie wiemy co i kiedy...

— *Ale przecież można ustalić kolejność odbioru, niezależnie od tego, kiedy transport w końcu przyjdzie* — mówię — *i wtedy zawiadamiać poszczególnych odbiorców, kiedy opał już będzie w składzie!*

— *Tak... Telegramy... Może rzeczywiście. Zacząć od tych, którzy mają najdalej: Mystków, Mszalnica...*

Aha! Zaczynamy myśleć.

Prezes WZSR Henryk Mizianty wcale jednak nie jest do tej koncepcji przekonany, o czym się dowiaduję, gdy odwiedzam z kolei jego. — *Kto się odważy sporządzić rozdzielnik, komu najpierw?! Decyzja wojewody ograniczała dostawy dla rolników indywidualnych tak, że do końca roku brakowałoby 77 tysięcy ton. Nie zgodziliśmy się na to. Ale i tak brakować będzie 60 tysięcy. Kto więc nie dostanie?*

— *Mogę zgadnąć, kto nie dostanie* — odpowiadam. — *Nie dostaną najsłabsi. I nie macie zamiaru temu przeciwdziałać?*

Nie rozumiemy się. Słyszę o tym, że do kwietnia otrzymywali powiadomienia o transporcie z wyprzedzeniem trzydniowym, że mieli awizację z Centrali Zbytu Węgla, a później potwierdzenie z PKP — ale że bezterminowo tego zaniechano; słyszę od wiceprezesa Stelmacha, że sytuację można by rozwiązać, gdyby STW dysponowała odpowiednimi samochodami; słyszę, że nie można przewozić węgla ze stacji prosto do rolnika, bo ciężki sprzęt samochodowy nie dojedzie do wielu gospodarstw — zresztą cztery piąte pracy STW to inne materiały; słyszę przerażające rzeczy o ogólnokrajowej anarchii w transporcie (wrócę do tego za tydzień); słyszę też, że urągające zdrowemu rozsądkowi zarządzenia ze szczebla centralnego pętają wszystkim ręce — niech przykładem będzie to, że brak dostaw węgla wcale nie wpływa na wielkość podatków, płaconych przez ogrodników: nie mogą hodować warzyw, ale płacą...

Nie słyszę jednak nic o tym, jak rozprowadzić węgiel, który będzie, choć w niedostatecznych ilościach. Który musi się znaleźć w każdym gospodarstwie. WZSR nie ma dotąd w bilansie ilości opału przydzielonych województwu w czwartym kwartale, dokładnego wyliczenia dla każdego z rolników. Nie wie, jak podzielić sprawiedliwie na wszystkich. Nie wie, jakie ciało społeczne podjęłoby się ustalić kolejność dostaw. Nie wyobraża sobie systemu zawiadomień.

Na cóż tu można jeszcze czekać?

Wydaje się, że droga jest jedna: trzeba poprzez sołtysów dowiedzieć się o potrzebach wszystkich gospodarstw (niech z martwych powstanie samorząd wiejski); trzeba proporcjonalnie rozdzielić przewidywane dostawy, na wspólnych naradach w każdej gminie ustalić kolejkę poszczególnych wsi — z koniecznymi wyjątkami dla najbardziej potrzebujących — po czym systematycznie, zawiadamiając telegramami, rozprowadzać to, co wpłynie do składów. Z zastrzeżeniem, że jeśli ktoś zechce zrezygnować z pobrania węgla, bo będzie miał pecha trafić akurat na podły gatunek, musi się pogodzić z wypadnięciem z kolejki.

Nie widzę przeszkód, aby tych działań nie podjąć od zaraz.

Ale nie widzę też energii, by je rozpocząć. O nie, to nie zła wola; to tylko wielkie zmęczenie. To przytłaczająca świadomość, jak trudno wydostać się z kryzysu.

Przecież jednak wydostać się musimy.

A węgla od myślenia nie przybędzie — ale od braku myślenia o tym, czym jest węgiel, przybywać może czarnej złości i ślepego buntu. Przybywać może demoralizacji i działania siłą. Przybywać będzie niewiary w możność wszelkiej naprawy.

Węgiel się nie psuje. Węgiel jest zawsze cierpliwy. Ludzie — już nie.

ADAM GARBICZ

HISTORIA ▼ WSPÓŁCZESNOŚĆ ▼ HISTORIA ▼ WSPÓŁCZESNOŚĆ ▼ HISTORIA ▼ WSPÓŁCZESNOŚĆ ▼ HISTORIA

ALEKSANDER WIELKI na cenzurowanym

Aleksander Wielki był wielkim opojem — tak przynajmniej twierdzi historyk amerykański — dr John O'Brien z Uniwersytetu w Nowym Jorku. Podkreśla on, że słynny wódz pod koniec swojego krótkiego życia zdradzał klasyczne objawy ostrej choroby alkoholowej, co również było główną przyczyną jego przedwczesnej śmierci w wieku 32 lat.

Dr O'Brien przypisuje niektóre ekstrawaganckie wyczyny Aleksandra Wielkiego właśnie zwyczajowi picia. Spalenie świętego miasta Persepolis w 330 r. p.n.e. było wynikiem decyzji podjętej w upojeniu alkoholowym, czego potem miał ponoć żałować.

Wyrzuty sumienia i kac moralny są częstym zjawiskiem występującym po ustąpieniu stanu upojenia. Dr O'Brien podaje, że kiedy Aleksander Wielki zabił Klaitusa, swego byłego przyjaciela, opanowała go taka rozterka, że usiłował porwać się na własne życie; nie dopuścili jednak do tego strażnicy. Ze współczesnych Aleksandrowi przekazów wynika, iż sypiał on całymi dniami, aby pozbyć się kaca.

Dr O'Brien stwierdza, że w ostatnich latach swego życia Aleksander Wielki stał się bardzo niespokojny, zachowywał się w sposób niemal samobójczy, co współczesna psychologia przypisuje niektórym formom alkoholizmu. Historyk amerykański wierzy, iż śmierć Aleksandra Wielkiego spowodowała przewlekła, ostra postać alkoholizmu, dodatkowo skomplikowana malarią.

Macedończycy, twierdzi dr O'Brien, znani byli ze swych słabości do napojów wyskokowych. Warto dodać, że „Encyklopedia Americana" w pewnym sensie potwierdza nową teorię. W haśle „Aleksander Wielki" znajduje się m. in. takie stwierdzenie: „Aleksander zmarł nie tyle z powodu malarii, ile z powodu wyczerpania się w nim sił witalnych". „Wyczerpanie się sił witalnych" jest powszechnie stosowanym eufemizmem określającym stan upojenia alkoholowego.

Można przypuszczać, że nowa teoria dr Johna O'Briena spotka się w środowisku historyków z różnymi opiniami. Ta wielka postać historyczna ma wśród nich wielu zwolenników, którzy zapewne nie będą spokojnie przyglądali się zabiegom odbrązowiającym, podjętym przez amerykańskiego historyka, a ponieważ w historii wiele rzeczy daje się interpretować tak więc i w tym wypadku sprawa pozostaje otwarta.

(PAP)

Komu skarb Somozy?

Nikt dokładnie nie wie jak duża jest fortuna pozostawiona przez Anastasio Somozę Debayle. Składają się na nią posiadłości ziemskie w różnych krajach, akcje licznych koncernów międzynarodowych, dewizy ulokowane w wielu bankach różnych kontynentów, dzieła sztuki, złoto, kosztowności itd. Krwawy dyktator nikaraguański był przypuszczalnie bogatszy niż niejeden szeik naftowy, b. szach Iranu lub ostatni cesarz Etiopii.

„Nie istnieje żaden rejestr dóbr Somozy, ponieważ tajemnica ta leży w interesie imperializmu amerykańskiego — napisał organ FSLN — „Barricada" — ani też nie wiadomo czy Somoza uporządkował swe rachunki przed śmiercią". Obecnie z wielką ostrożnością szacuje się majątek dyktatora na ok. 400 mln dolarów, ulokowanych w licznych koncernach USA lub złożonych w depozyt w bankach europejskich i amerykańskich. Jednakże tuż przed ucieczką Somozy 17 lipca 1979 r. z Nikaragui „NY TIMES" ocenił bogactwa tyrana na ok. 900 mln dolarów. Na uniwersytecie narodowym im. San Carlosa w Gwatemali — gdzie niedawno przebywałem — nie wykluczano, że „sezam somozistowski" jest wart półtora miliarda dolarów. Zapewne nie prędko, a może nigdy nie zostanie ujawniona tajemnica krwawego skarbu.

W Managui opowiadano mi przedziwne i przerażające historie o tym, jak trzej kolejni tyrani przez prawie pół wieku pomnażali fortunę wyciskając pot i krew z dwumilionowego narodu.

Jedna z historii wyryta została na obliczu przedziwnego miasta jakim jest Managua. Sprawia ona przygnębiające wrażenie, ponieważ jej centrum przypomina... Warszawę 1945 r. W rzeczywistości stolica nikaraguańska pod koniec 1972 r. przeszła potężne trzęsienie ziemi. Zginęły tysiące mieszkańców, zniknęły całe kwartały, całkowitemu zniszczeniu uległo centrum. Nigdy nie zostało ono odbudowane, a sterty gruzów okryła tylko zieleń tropikalna. Wielomilionowa pomoc międzynarodowa zniknęła w kieszeniach rodziny Somozów i jej zauszników. Jeden z ministrów w ciągu 3 lat postawił sobie 16 domów, a zwycięstwo FSLN uniemożliwiło zakończenie budowy kolejnej rezydencji wartości miliona dolarów. Fortuny dorobiła się też „intymna przyjaciółka" dyktatora — Dinorah Sampson, o której obecna prasa nikaraguańska zawsze pisze z dodatkiem „prostytutka". Ta pierwsza dama Somozy czerpała krocie m. in. z kontrabandy, handlu narkotykami i „sprzedaży" stanowisk państwowych.

Nic dziwnego, że po ucieczce Somozy Nikaragua była krajem doszczętnie złupionym i zrujnowanym, a ludność bez szansy na przeżycie gdyby nie pospieszył jej z pomocą cały świat. Do dzisiaj większość mieszkańców tego kraju żyje w prymitywnych budach z desek i blachy lub kurnych chatach, dzieci są wciąż niedożywione a pracy nie starcza dla wszystkich dorosłych. Państwo nie może wydostać się z długów zaciągniętych przez Somozę wobec zagranicy ocenianych na ponad 600 mln dolarów. Nikt jednak nie liczył w Nikaragui na przekazanie fortuny somozistowskiej do skarbu państwowego. Dla Nikaragui śmierć dyktatora ma inną, ogromną wartość. „Nasza ojczyzna jest teraz rzeczywiście wolna. Są bohaterami ci, którzy zabili Somozę, chociaż Nikaragua nie ma nic wspólnego z tym czynem w Paragwaju" — oświadczył członek nikaraguańskiego rządu odnowy narodowej — Rafael Cordova Rivas. Sama fortuna została dawno temu rozrzucona przez dyktatora w wielu zakątkach świata i tylko on mógł łączyć te sekretne nici skarbów wiodące m. in. do banków szwajcarskich i na Antylach Holenderskich, do lokat na Wyspach Dziewiczych lub w Miami na Florydzie.

W Nikaragui Somoza był właścicielem m. in. linii lotniczej „Lanica", nikaraguańskiej linii żeglugowej i flotylli rybackiej, setek tysięcy ziemi uprawnej, najwyższej klasy bydła hodowlanego, gigantycznej rzeźni Productos Carnic w Nikaragui oraz koncernu żywnościowego z siedzibą w Miami dostarczającego produktów m. in. Amerykanom.

Cieszył się jeszcze przez 14 miesięcy swym bogactwem. W Stanach Zjednoczonych, mających niedobre doświadczenia z eks-szachem Iranu, nie otrzymał azylu, ale znalazł schronienie w „kraju milczenia" — Paragwaju, rządzonym przez niemniej krwawego tyrana gen. Adolfo Stroessnera. Tam wiódł dalej superluksusowe życie, wciąż powiększał swoje bogactwa i jeszcze niemal w ostatniej chwili życia zapowiadał zbrojną konkwistę kraju. Zabity został w Asunción w rezultacie jednego z najbardziej spektakularnych zamachów stulecia.

Głową klanu został najstarszy syn Anastasio Somoza Portocarrero („El Chiguin"). Nad grobem ojca przyrzekał członkom eksgwardii narodowej Somozy powrót na ziemię... nikaraguańską. Mieszkańcy Nikaragui zbytnio nie przejęli się tą zakamuflowaną groźbą krucjaty.

Obecnie zresztą wokół 5-ciorga dzieci Somozy, b. żony, ekskochanki i wszystkich innych krewnych i wspólników zaczął się „taniec milionów". W Managui dziennik Frontu Wyzwolenia Narodowego im. Sandino (FSLN) „Barricada" nazwał to w tytule „Jazgotem psów o dziedzictwo po Somozie". Ten krąg pragnących skarbu jest znacznie szerszy, chociaż „El Chiguin" zaczął już działać w Miami, Waszyngtonie i Asunción, aby zagarnąć cały spadek. Jednakże na znaczne kąski liczą również dawni wspólnicy Somozy i związane z nim firmy — od paragwajskiego generała Stroessnera po amerykańskiego senatora Johna Murphy i od Eastern Air Lines po Paraguaya Sociedad Responsabilidad Militada. W pierwszej fazie zapowiada się rozgrywka familii z Dinorah Sampson, której legalność związku z Somozą jest wątpliwa, czego jednak nie można powiedzieć o udziałach w interesach.

RYSZARD RYMASZEWSKI (PAP)

PIĄTEK

PROGRAM I

6.00—9.55 — TTR, RTSŚ; 9.55 — Na zamku — progr. dla kl. 4; 11.00 — progr. dla najmłodszych — „Na straganie w dzień targowy"; 13.30 — TTR; 14.00 — TTR; 14.30 — Redakcja Szkolna zapowiada; 15.20 — NURT; 15.50 — progr. dnia; 15.35 — Obeiktyw; 16.15 — dziennik; 16.30 — dla dzieci: „Piątek z Pankracym"; 16.55 — „Dzień dobry w kręgu rodziny"; 17.20 — „Rodzina Połanieckich" (5) — „Spełnienie"; 18.40 — radzimy rolnikom; 18.50 — dobranoc; 19.00 — telewizja młodych — „Pośredniak"; 19.30 — dziennik; 20.10 — kabaret „Dudek"; 22.25 — nagrodzone w Szczecinie — „Jachtem do nikąd"; 22.35 — dziennik; 22.50 — Teatr TV: T. Wieżan — „Zakręt", reż. G. Królikiewicz.

PROGRAM II

10.00 — „Rodzina Połanieckich" (5) — „Spełnienie"; 11.25 — gwiazdozbiór — D. Olbrychski; 12.10 — piosenki, które lubimy; 12.35 — nagrodzone w Szczecinie: „Czekamy na wieloryba"; 16.40 — program dnia; 16.45 — jęz. francuski, kurs podst., lek. 3; 17.15 — jęz. rosyjski, kurs podst., lek. 3; 17.50 — kino TDC — „Skąd my się znamy?"; 18.20 — małe kino — „Szum lasu" — film anim.; 18.30 — spotkania literackie; 19.00 — piosenki tygodnia; 19.10 — KRONIKA (Kr.); 19.30 — dziennik; 20.15 — „Gdzieś w małym miasteczku" (3) — serial obycz.; 21.30 — „Mówić, nie mówić?"; 22.10 — 24 godziny; 22.20 — piosenki tygodnia; 22.40 — gwiazdozbiór — D. Olbrychski; 23.25 — jęz. francuski, kurs podst., lek. 3.

SOBOTA

PROGRAM I

6.00 — TTR; 9.00 — program dnia; 9.05 — „Tobie, Ojczyzno" — wojsk. film dok.; 9.45 — „Człowiek — ziemia — kosmos"; 10.15 — poranek z kulturą; 11.45 — Klub 6 kontynentów; 12.35 — „Kto za to płaci?" — publicyst. sport.; 13.15 — Studio-2; 18.50 — dobranoc; 19.00 — Studio-2; 19.30 — dziennik; 20.10 — Studio-2 c.d., m. in.: Ostatni kabriolet" (2) — serial USA; 23.40 — kino nocne — „Waszyngton za zamkniętymi drzwiami" — (1) — serial USA.

PROGRAM II

14.20 — blok muzyczny; 15.55 — „Jestem w Palmie między palmami" — reportaż z Majorki; 16.20 — „Uśmiech spod parasola" — progr. rozrywk.; 16.50 — „Cyrki świata"; 17.40 — nagrodzone w Szczecinie — „Opowieści prezydenta"; 18.10 — „Wojna domowa" (13) — „Młode talenty"; 19.00 — piosenki tygodnia; 19.10 — KRONIKA (Kr.); 19.30 — dziennik; 20.15 — ME w gimnastyce artyst.; 21.20 — nagrodzone w Szczecinie — „Rybacy z małego morza"; 21.50 — „Telefon 110"; 23.10 — poeci recytują wiersze — J. Harasymowicz; 23.25 — ME w gimnastyce artyst.

NIEDZIELA

PROGRAM I

6.20—7.40 — TTR, RTSŚ! 7.40 — „Nowoczesność w domu i zagrodzie"; 8.10 — emerytury dla roników; 8.20 — telewizjada; 8.55 — program dnia; 9.00 — teleranek; 10.20 — „Antena"; 10.45 — republiki radzieckie — „Drogi Kirgizji"; 11.40 — dziennik; 12.00 — I liga piłki 14.20 — dla dzieci — „Diamentowy północnej; 12.50 — poranek muz. symfonicznej; 13.50 — rolnicze rozmowy; grosik kogucika"; 14.45 — TV koncert życzeń; 15.30 — „Z kamerą wśród zwierząt"; 15.55 — losowanie Dużego Lotka; 16.10 — Tele-echo; 17.10 — „W świecie dzikich zwierząt"; 17.35 — ME w gimn. art.; 19.00 — wieczorynka; 19.30 — dziennik; 20.10 — „Z biegiem lat, z biegiem dni" (8) — „Kraków 1914"; 21.35 — postscriptum po serialu; 22.00 — magazyn sport.; 22.25 — „Z muzyką przez lata" (3).

PROGRAM II

10.25 — „Zawsze w potrzebie" — progr. wojsk.; 10.50 — przeboje tygodnia; 12.15 — „Z biegiem lat, z biegiem dni" (8); 13.45 — progr. rozrywkowy; 14.10 — zapisane kamerą; 14.35 — „Miłość i pożar" — kom. film.; 15.40 — teatr telewizji na świecie — Georg Buechner — „Śmierć Dantona"; 18.00 — „Stereo i w kolorze"; 19.30 — dziennik; 20.10 — „Życie na ziemi" (4); 21.15 — „Jak w kinie" — kom. film.; 22.00 — „Jazz Jamboree 80".

PONIEDZIAŁEK

PROGRAM I

13.30—15.20 — TTR, RTSŚ; 15.20 — NURT; 15.50 — progr. dnia; 15.55 — Obiektyw; 16.15 — dziennik; 16.30 — dla dzieci — „Zwierzyniec"; 16.55 — klinika zdrowego człowieka; 17.20 — „Polskie drogi (9) „Do broni" — film serial TVP; 18.50 — dobranoc; 18.55 — radzimy rolnikom; 19.05 — echa stadionów; 19.30 — dziennik; 20.10 — teatr telewizji na świecie — Georg Buechner — „Śmierć Dantona", reż. Fritz Bornemann; 22.25 — dziennik; 22.40 — „Horyzont" — wybory po amerykańsku.

PROGRAM II

10.00 — „Polskie drogi" (9) — „Do broni"; 11.35 — klinika zdrowego człowieka;

Dzień ONZ w TP

12.00 — „Czy koncerny są dobre dla wszystkich?"; 12.30 — „Świat śpiewa — świat tańczy";

Dzień ONZ w TP

17.00 — „Uwertura" — film. dok.; 17.15 — przedstawiamy Narody Zjednoczone; 17.30 — „Wyzwolić Namibię — film dok.; 18.00 — śpiewa Myriam Makeba; 18.25 — „Czy koncerny są dobre dla wszystkich?" — film dok.; 18.50 — przyjaciele Jacques'a Preverta; 19.00 — „Świat dzieci" — dobranocka dnia ONZ; 19.10 — KRONIKA (Kr.); 19.30 — dziennik;

Dzień ONZ w TP

20.10 — „Świat śpiewa — świat tańczy"; 20.40 — „Kształt lepszego świata"; 21.00 — gość dnia ONZ; 21.10 — „Nuklearne 3-2-1...?" — film dok.; 21.35 — gość dnia ONZ — Lisolette Waldheim, kierownik genewskiego oddziału Ośrodka ONZ ds. Rozbrojenia; 21.45 — „Nie zapomnij mnie" — film dok.; 22.00 — 24 godziny; 22.10 — „Wielka wioska" — film dok.; 22.35 — „Dla Wenecji" — muzyczna impresja filmowa.

WTOREK

PROGRAM I

6.00—9.00 — TTR, RTSŚ; 9.00 — dla szkół: język polski, kl. 1 lic. — J. Kochanowski — „Odprawa posłów greckich"; 9.55 — dla szkół: język polski, kl. 2 lic. — A. Mickiewicz — „Dziady" — odc. 1; 12.50 — dla szkół średnich; rodzina współczesna; 13.30—15.50 — TTR, RTSŚ; 15.50 — program dnia; 15.55 — Obiektyw; 16.15 — dziennik; 16.30 — telewizyjny klub seniora; 16.55 — „Skojarzenia", teleturniej; 17.15 — „Dom i my"; 17.35 — „Ciąg dalszy nastąpi" — „Równe szanse"; 18.25 — „Królik Bugs przedstawia" — amerykański film animowany; 18.50 — dobranoc; 19.00 — „Skarbiec"; 19.30 — dziennik; 20.10 — twój współczesny — „Gąski" — czechosłowacki film obycz.; 21.30 — spotkania liryczne — „Szeptanka"; 22.00 — poglądy; 22.15 — dziennik; 22.30 — „Proscenium" — mag. teatralny.

PROGRAM II

10.00 — „Skarbiec"; 10.30 — spotkania liryczne — „Szeptanka"; 11.00 — mój koncert; 12.00 — „Skojarzenia" — teleturniej; 12.20 — program na dziś i jutro — „Szacunek dla chleba"; 15.30 — jęz. niemiecki — „kurs podst. lek. 4; 15.55 — jęz. angielski — kurs. podst., lek 4; 16.25 — program dnia; 16.30 — kino telewizji najmłodszych; 17.00 — młodzieżowy magazyn techniki; 17.30 — program na dziś i jutro — „Szacunek dla chleba"; 18.00 — mój koncert; 19.00 — piosenki tygodnia; 19.10 — KRONIKA (Kr.); 19.30 — dziennik; 20.10 — „Wtorek melomana"; 21.10 — 24 godziny; 21.20 — „Bez recept" — o wadach wymowy u dzieci; 21.50 — filmoteka narodowa — filmy Andrzeja Munka — „Pasażerka"; 22.55 — jęz. niemiecki — kurs podst., lek. 4.

ŚRODA

PROGRAM I

6.00—9.55 — TTR, RTSŚ; 9.55 — dla szkół: praca — technika, kl. 1; 11.55 — dla szkół: fizyka, kl. VIII; 13.30 — TTR, RTSŚ; 14.00 — TTR, RTSŚ; 15.20 — NURT; 15.50 — program dnia; 15.55 — obiektyw; 16.15 — dziennik; 16.30 — „Michałki" — magazyn dla dzieci; 16.55 — losowanie Express Lotka i Małego Lotka; 17.10 — turystyka i wypoczynek — jesienna turystyka; 17.30 — klub dobrej książki; 17.55 — I liga piłki nożnej; 18.50 — dobranoc; 19.00 — „Camerata"; 19.30 — dziennik; 20.10 — „Partita na instrument drewniany" — polski film wojenny, reż. Janusz Zaorski; 21.45 — „XYZ" — cz. 1; 22.10 — dziennik; 22.25 — „XYZ" — cz. 2.

PROGRAM II

10.00 — sprawy młodych — „Kto mnie woła nocą" — rumuński film obycz.; 11.40 — turystyka i wypoczynek — jesienna turystyka; 12.00 — „Camerata"; 12.25 — ekran reporterów; 15.55 — jęz. angielski — kurs podst., lek. 4; 16.25 — jęz. niemiecki — kurs podst., lek. 4; 16.50 — program dnia; 16.55 — program morski; 17.25 — „Kto mnie woła nocą" — rumuński film obycz., reż. Letitja Popa; 19.00 — piosenki tygodnia; 19.10 — KRONIKA (Kr.); 19.30 — dziennik; 20.10 — ekran reporterów; 20.40 — „Stop klatka" — magazyn informacyjno-publicystyczny; 21.15 — 24 godziny; 21.25 — śpiewa Czesław Niemen; 21.50 — wieczorne rozmowy w kręgu rodziny; 22.20 — jęz. angielski — kurs podst., lek. 4.

CZWARTEK

PROGRAM I

6.00—11.00 — TTR, RTSŚ; 11.00 — dla szkół: język polski, kl. 3 lic.; 13.30 — TTR, RTSŚ; 14.00 — TTR, RTSŚ; 15.20 — program dnia; 15.25 — dla młodych widzów: „Decyzje piętnastolatków"; 15.55 — Obiektyw; 16.15 — dziennik; 16.30 — TDC — w programie m. in. „Był sobie raz człowiek" — fr. film animowany; 17.25 — „Giełda"; 17.40 — magazyn motoryzacyjny; 18.00 — turniej reporterów; 18.25 — reportaż wojskowy; 18.50 — dobranoc; 19.00 — „Sonda" — „Piętno"; 19.30 — dziennik; 20.10 — Teatr Sensacji — Ireneusz Iredyński — „Żegnaj Judaszu"; 21.35 — „Pegaz"; 22.25 — dziennik; 22.40 — dwie strony medalu — publicystyka sportowa.

PROGRAM II

10.00 — „Brygady Tygrysa" — „Wyznawcy Apokalipsy" — franc. film kryminalny; 11.00 — dwie strony medalu — public. sportowa; 11.30 — Sonda — „Piętno"; 12.05 — Kosmos 80; 15.55 — język rosyjski — kurs podst. lek. 4; 16.25 — jęz. francuski — kurs podst., lek. 4; 16.55 — program dnia; 17.00 — Kosmos 80 — największe tajemnice budowy świata; 19.00 — piosenki tygodnia; 19.10 — KRONIKA (Kr.); 19.30 — dziennik; 20.10 — NURT; 20.40 — NURT; 21.10 — 24 godziny; 21.20—22.55 — wieczór filmowy: 21.20 — z kronik krakowskich festiwali — „Moja ulica" — reż. D. Halladin; 21.30 — „Dzień dobry dzieci" — reż. I. Kamieńska; 21.50 — „Proces Joanny d'Arc" — fr. film fab. — reż. Robert Bresson; 22.55 — NURT.

Podany przez nas w ubiegłym tygodniu program tv okazał się — z przyczyn od nas niezależnych — nieaktualny. Przepraszamy. Ponieważ Czytelnicy domagają się podawania takiego programu, czynimy temu zadość, nie mogąc na razie zagwarantować, że w ostatniej chwili nie wystąpią zmiany.

DUNAJEC — tygodnik Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej. Redaguje zespół: Beata Dembowska, Krzysztof Dobosz (sekretarz odpowiedzialny), Adam Garbicz, Elżbieta Glinka (zastępca redaktora naczelnego), Antoni Kroh, Jerzy Leśniak, Adam Ogorzałek (redaktor naczelny), Krzysztof Podbiera (redaktor techniczny), Stanisław Śmierciak (fotoreporter). Adres redakcji: 33-300 Nowy Sącz, ul. St. Żółkiewskiego 11. Telefony: 238-36, 238-90. Teleks: 0322748. Oddział w Krakowie: ul. Wielopole 1, pok. 58, telefon 203-29, 275-88 wewn. 238. Wydawca: Robotnicza Spółdzielnia Wydawnicza „Prasa-Książka-Ruch" Kombinat Wydawniczo-Kolportażowy w Krakowie, ul. Wiślna 2. Druk: Zakłady Poligraficzne RSW w Krakowie, ul. Wielopole 1.
Ogłoszenia przyjmuje: Biuro Reklam i Ogłoszeń, ul Wiślna 2, 31-007 Kraków, telefon: 270-89, oraz wszystkie biura ogłoszeń RSW „Prasa-Książka-Ruch" na terenie całego kraju. Za treść ogłoszeń redakcja nie ponosi odpowiedzialności. Informacji o warunkach prenumeraty udzielają oddziały RSW „Prasa-Książka-Ruch" i urzędy pocztowe. Cena prenumeraty rocznej — 208 zł. Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę przyjmuje RSW „Prasa-Książka-Ruch" Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw, ul. Towarowa 28, 00-958 Warszawa, konto NBP XV Oddział w Warszawie, nr 1153-201045-139-11; prenumerata ta jest droższa od prenumeraty krajowej o 50% dla zleceniodawców indywidualnych i o 100% dla instytucji i zakładów pracy. Nr indeksu 35657. H-18

Rys. Andrzej Mleczko „Polityka"

Stado kłopotliwych byczków

Któż dzisiaj pamięta bajkę o byczku Fernando? Chyba tylko moi rówieśnicy i jeszcze starsze pokolenia. Młodsi mieli inne ulubione książki dzieciństwa: „Soso", „Hela będzie traktorzystką", jeszcze młodsi uwielbiali „Przygody Tomka na Czarnym Lądzie", zaś współczesne nastolatki rozczytują się w uroczej bajeczce M. Wisłockiej „Sztuka kochania". Niechże więc będzie mi wolno przypomnieć w paru słowach dzieje przemiłego byczka.

Fernando, byczek narodowości hiszpańskiej, był jednostką o romantycznym usposobieniu: kontemplował naturę, ubóstwiał spokój, sielską atmosferę. Kiedy razu pewnego leżał sobie na zielonej łące i wąchał kwiatki, użądliła go osa. Biedny Fernando wpadł w szał rozpaczy — wierzgał, sapał, galopował. Akurat przechodzili handlarze, skupujący byki na corridę w Madrycie. Zachwyceni temperamentem utalentowanego młodzieńca, nabyli go i powieźli do metropolu.

Lecz oto nastąpiło straszliwe nieporozumienie. Fernando, wybiegłszy na arenę, nie dał się sprowokować pikadorom, lecz położył się na trawce i swoim zwyczajem jął wąchać kwiaty. Nic go nie obchodziła corrida, a więc nie było sensu go zabijać. Odwieziono tedy byczka-indywidualistę z powrotem w jego rodzinne strony. Koniec bajki.

A gdyby Fernando urodził się nad Wisłą... Po cóż tu fantazjować, wystarczy przyjrzeć się niektórym byczkom rodzimego chowu. Owi, gdy obsiądzie ich rój os, leżą sobie grzecznie na trawce i udają, że sprawa ich nie dotyczy; wąchają kwiatki, słuchają śpiewu ptaszął i w ogóle nie posiadają się ze szczęścia. Zaś kiedy osy odfruną (odpędzone przez kogoś innego), dopieroż wyć z bólu, utyskiwać, rany swoje obnosić, Rzeczpospolitą naprawiać, gotowe recepty na poczekaniu dawać! Gwałt, rwetes, zamieszanie.

Spyta ktoś: dlaczegóż te byczki tak szaleją?

Odpowiadam: ponieważ cierpią na schizofrenię, czyli rozdwojenie jaźni — mają w sobie coś z byczka i coś z toreadora jednocześnie. Kochają zarówno kwiatki, jak corridę. Ale nie nadają się ani na arenę, ani na zieloną łąkę. Biedne, nieszczęśliwe zwierzątka.

Trzeźwa ocena sytuacji

Sytuację, w jakiej obecnie Polska się znajduje, ocenił nadzwyczaj wnikliwie pewien kierowca PKS. W dwóch zdaniach zawarł on więcej, niż wielu elokwentnych mówców w długich przemówieniach.

Mianowicie podjechał swym jelczem na przystanek, zatrzymał się przed skłębionym tłumem, otworzył drzwi i zawołał:

— Ludzie, nie pchajcie się! Żebyście się wściekli, to i tak wszyscy nie pojedziecie!

Jasne?

Pan Franciszek Orłowski ze Starego Sącza, szewc-emeryt, świetny fachowiec, jeden z ostatnich wytwórców tzw. kapców, oraz kilkunastu jego sąsiadów otrzymało z Państwowego Biura Notarialnego w Nowym Sączu pismo, zatytułowane tak oto:

„Ostrzeżenie o wszczęciu postępowania o ustalenie terenu budowlanego w Starym Sączu osiedle „Lipie".

Zapewne pod względem prawniczym jest to pismo sformułowane poprawnie (nie wiem, bo się na tym nie znam), ale adresaci chcieliby, aby im przetłumaczyć je na język polski. Przed czym mianowicie Biuro Notarialne ostrzega? Co z tego pisma wynika, o co w nim właściwie chodzi?

Czy Państwowe Biuro Notarialne oraz inne czcigodne instytucje państwowe mogłyby układać swoje pisma tak, aby były one zrozumiałe również dla ludzi, którzy nie ukończyli studiów prawniczych? Może powiem jaśniej, aby PT Urzędnicy zrozumieli: czy Biuro może wszcząć postępowanie o adekwatne i klarowne redagowanie oraz informowanie? Czy ktoś z Was pomyślał, jak czuje się stary, spracowany człowiek, gdy otrzyma taki groźny tekst w niezrozumiałym dlań żargonie?

Jaśniej, kochani, jaśniej się wyrażać!

Ku pokrzepieniu serc

Co tu ukrywać: społeczeństwo jest rozgoryczone, wszyscy chodzą zdenerwowani, źli, zasmuceni. Brakuje nam uśmiechu na co dzień, radości życia, optymizmu. Zresztą ludzie nie muszą bynajmniej okazywać przesadnej radości — od tego przecież mamy prasę, żeby się za nas cieszyła. Dobrze więc, nie zawiedziemy pokładanego w nas zaufania i z honorem wypełnimy swą powinność, drukując radosną, krzepiącą wieść. Oto w Piwnicznej oddano niedawno do użytku piękny dom przedpogrzebowy.

Przykład jeden z wielu

Znajomy kolejarz opowiedział następującą historyjkę:

— Otwieranie drzwi wagonów towarowych zostało zmechanizowane. Stalową linkę przyczepia się jednym końcem do ciężarówki, drugim końcem do klamki wagonu, samochód rusza z impetem i drzwi się otwierają. Albo wyłamują się, rzecz oczywista.

Sprawa polega na tym, że drzwi od wagonów towarowych, z góry i z dołu zakończone rolkami, przesuwają się po szynach. Jeszcze niedawno temu rolki i szyny były regularnie smarowane — na ogół przez kolejarzy-emerytów. Lecz ktoś wpadł na genialny pomysł, by zaoszczędzić na funduszu płac i smarowniczych rozpędzono. Więc drzwi wagonów przestały się normalnie otwierać.

Czy to prawda, proszę szanownej Dyrekcji Kolei? A jeśli prawda, to pragniemy wiedzieć, kiedy ta idiotyczna sprawa zostanie załatwiona godnie ze zdrowym rozsądkiem?

Rys. Andrzej Mleczko „Polityka"

Ze starej prasy

1950

W Mochnaczce Niżnej zorganizowano przeciw rosnącej grupie przyszłych spółdzielców terror wyzwisk i przekleństw: *„Żeby wam nogi i koła słupem stanęły, jak będziecie orać, żeby się wam motor spalił, żeby wam kury pozdychały..."*. Na sołtysa Sikorskiego kułacy rzucili klątwę, aby nogi połamał za to, że pierwszy podpisał deklarację. A żony kułaków straszą żony biedniaków i średniaków, że mężowie ich z piekła nie wyjdą, jak przystąpią do spółdzielni. W Piorunce dywersyjna propaganda przybiera następującą postać: *„...Dzieci nie będziecie oglądać, bo pozabierają do żłóbka..." „...Nie wolno wam będzie mieć więcej ubrań, jak jedno..." „...Jedzenie będą wydzielać..."*

(„Gazeta Krakowska", 25.X)

Na wiadomość o przygotowaniach do Spisu Narodowego w powiecie limanowskim niektórzy chłopi i spekulanci podjęli akcję w celu odstraszenia od Spisu. Powtarzane są plotki: *„Jak wam zapiszą krowę, to już nie wasza"*. W Pisarzowej ob. Zofia Waniołek schowała do siana maszynę do szycia, ob. Józef Głuszczyk schował w stodole ubranie ślubne i szafę dębową. Dziś o Spisie najwięcej wie młodzież. Śmieje się z najwnych, którzy chowają ostatnie buty i ubranie. Opowiadają o tym swoim rodzicom. Ciężko jest przekonać niektórych, ale gdy własne dzieci mówią...

(„Dziennik Polski", 30.XI)

1960

W latach międzywojennych kożusznicy z Nowego Targu wysyłali swe wyroby regionalne — bogato haftowane kożuszki — do wielu krajów, najwięcej do Ameryki, Belgii, Anglii. Po wielu latach ten tradycyjny eksport został wznowiony. Z Ameryki nadeszło za pośrednictwem Centrali Handlu Zagranicznego „Prodimex" pierwsze zamówienie na 3 tys. kożuchów regionalnych wartości kilkudziesięciu tysięcy dolarów. Aby sprostać temu zamówieniu w Nowym Targu powstało Zrzeszenie Gospodarcze Rzemieślników, które skupiło 31 kożuszników, trudniących się tradycyjnie już od lat garbowaniem skór baranich oraz szyciem z nich kożuchów.

(„Gazeta Krakowska", 6.X)

NOWOSĄDECKA WIEŚ I ATOM. Uruchomienie pierwszej krajowej elektrowni jądrowej poprzedzi budowa — dziś jeszcze nie istniejącej — Fabryki Elektrod Węglowych w Biegonicach k. Nowego Sącza. Grafitu dla polskiej elektrowni atomowej dostarczać będą właśnie Biegonice... Nic tu właściwie jeszcze nie ma. Kilometr od głównej szosy do Starego Sącza rozciąga się obszar rozległej budowy. Po pustych polach buszują dwa spychacze, niwelując pagórki, fuka mała lokomotywka, stoją dwa drewniane baraki.

(„Gazeta Krakowska", 23.X)

1970

NOWY SĄCZ — MIASTEM AKADEMICKIM. Zainaugurowano nowy rok szkolny 1970/71 w punkcie konsultacyjnym Politechniki Krakowskiej. (...) W przyszłym roku ma powstać w Nowym Sączu Wyższa Szkoła Nauczycielska.

(„Gazeta Krakowska", 21.X)

Czym jest właściwie Klub Ziemi Sądeckiej przy Al. Wolności? Przede wszystkim antidotum na małomiasteczkowość i prowincjonalizm. Przeciwdziała tworzeniu się w 40-tysięcznym mieście zakisłej atmosfery nijakości, snobizmu, kompleksów i ploteczek...

(„Gazeta Krakowska", 24.X)